Nr. 9 i 10. Kraków, we wrześniu i październiku 1906 r. Rok VII.



Pismo dla kobiet

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor. | zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal. | pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, II. p.

LEGENDA.

PRZĘDZA MATKI BOSKIEJ — „BABIE LATO“.

(p. M. GAWALEWICZA).

Gdy chłodna jesień, poprzedniczka zimy, rdzawić zaczyna swojem tchnieniem kwiaty i zwiędłe liście już z gałęzi strąca, Najświętsza Panna przez nadziemskie światy płynie w obłokach, blaskiem promieniąca...

I wonczas niebu znów przybywa krasy; zda się, że słonko w letnią kolej wraca, spłowiałe łąki, poczerniałe lasy swojem spojrzeniem czarownem wyzłaca.

Królowa niebios płynie, jako prządka; i zamiast berła prostą kądziel trzyma; zanim z obłoków spadnie biała zima, Ona, jak macierz dbała o dzieciątka, idzie policzyć duszyczki niebogi, co się pod Raju ogrodzeniem tulą i upatrują smutne jakiej drogi, aby do niego wcisnąć się ukradkiem i choć najlichszym wyrosnąć tam kwiatkiem.

Wstępu im bowiem do Raju nie dają, jeśli pomarły nieochrzczone jeszcze i pierworodny grzech je dotąd plami; więc za rajskiemi kulą się wrotami i drżące z zimna wyczekują łaski.

Dla nich to Marya, Pani litościwa, cienką nić przędzie, a z tego przędziwa anioły potem tkają giezła miękkie i rozwieszają one na błękicie, niby na polu płótna bieluteńkie, by zmarłe dziatki miały z nich okrycie.

Także sierotkom nagim, opuszczonym, Mateńka Boża swej pracy nie skąpi i w dnie jesienne na obłokach przędzie.

Więc drżącym dziatkom w zimie ciepło będzie...

Błogosławionaś Ty niebios Panienko, Pani litośna i litości wzorze!... gdy przez

niebieskie przepływasz przestworze, by pracowicie snuć swą nitkę cienką, i widzisz z góry, z tronu obłocznego, że tu na ziemi serca niepamiętne na ludzką nędzę patrzą obojętnie, — Ty Miłosierna znieść nie możesz tego; zrywasz garść przędzy i rzucasz ją na dół, jak upomnienie swe na ziemski padół, a wiatr ją nosi w powietrzu i snuje, przed oczy ludzi zwija i rozwija i zda się splatać w tajemnicze głoski:

„Otom ja przędza samej Matki Boskiej!... dla biednych sierot snuję ją z kądzieli, pomnijcie ludzie, byście litość mieli i tu sierotkom nie szczędzili serca!...“

I cienka nitka z zaziemskiego świata, co tam od nieba aż ku ziemi sięga, około ludzi sama się oplata i z sobą serca miłosierne sprzęga, a że ją Matka Boska miała w ręce, więc jak talizman szczęścia z niebios spływa; — kogo się czepi choć cząstka przędziwa, ten polecony Najświętszej Panience w dniu onym z ducha pogodniejszym bywa: takiemu jedna choć chwila szczęśliwa zdarzyć się musi w ciągu doby całej.

Gdy babie lato uśmiechnie się światu, zaraz się jaśniej człowiekowi robi i wśród jesieni ma wiosenne złudy: zanim zimowe obsypią go grudy, raz jeszcze w słońcu rzeźwiejszy się czuje...

A tylko pająk swym się jadem truje i patrzy w górę z zawiścią ukrytą, bo jego Pan Bóg skarał za zuchwałość, że taki mały miał tak wielką śmiałość Panience Świętej sprzeciwiać się kiedyś i z grzeszną dumą miał rozgłaszać wszędzie, że on od Maryi Panny cieniej przędzie.

Za brzydką zawiść i za czelną pychę, odtąd prowadzić musi życie liche, kryć się po kątach, mieszkać po ruinach i prząść swą siatkę z marnego przędziwa, którą podmuchem lada wiatr rozrywa.

Niebiańska prządka, Pani w niebo wzięta, o ludzkich sprawach na ziemi pamięta; umyślnie spuszcza długą nić z wrzeciona, kiedy jesienne rozpoczną się mroki, by gospodarnym przypomnieć niewiastom kądziel na długie zimowe wieczory i koło domu staranne zajęcia.

Więc gdy na pola pierwszy śnieg się zwali, po chatach ogień na kominach błyska, smolne łuczywo iskierkami pryska, a gdy się w płomień wesoły rozpali, wkoło dziewuchy przy kominie siędą i złote pieśni z szarą nicią przędą.

A między jedną piosenką a drugą, gdy dopalonych głowien żar przygaśnie, starsza prząśniczka opowiada baśnie, to o Madeju z zbójecką maczugą, to o królewnie czarami zaklętej, to o trzech braciach, co poszli na boje, a gdy wyprzędzie wszystkie bajki swoje, rzecze:

— A teraz o Panience Świętej powiem wam jedną powieść już prawdziwą, skąd mamy płótno i kto dał przędziwo.

— Widzicie ludzie, stała w jednym siole chatynka mała pod lasem na dole; przy chatce sad był i ogrodu kawał.

Ogród warzywo, sad owoce dawał, a z czarnej roli biały chleb się rodził.

W chatce kmieć mieszkał, co za pługiem chodził, z żoną staruchą i córką dziewuchą i jakoś im ta — chwalić Pana Boga — nie bardzo ciężką była w wieczność droga.

Ale kmieć stary zachorzał obłożnie, bo zły wiatr jakiś na ziemię nim śmignął; jak legł w pościeli, tak się już nie dźwignął i gdy nie było na chleb orać komu, bieda i lament zagościły w domu. Odłogiem stała niezasiana rola, u drzwi i okien czyhała niedola.

Każdy dzień gorszy dla niebożąt świtał...

Jedna dziewucha nie traciła ducha

i do Najświętszej modliła się rzewnie, rano i wieczór niebieskiej Królewnie oddając ojców w opiekę i siebie.

A Pan Bóg słuchał z Matką Boską w niebie.

— „Panie Przedwieczny, wszechmogący Boże, oto niegodna przed Twym tronem stoję, nie daj nam zmarnieć, święć się imię Twoje!... ojca i matki lituj się starości, nie skąp im chleba Swego powszedniego, Tyś Pan, Tyś Mocarz, Tyś jest Król światłości, źdźbło trawy nie schnie bez rozkazu Twego, bez wiedzy Twojej liść z drzewa nie spada, jeno się pierwej Tobie opowiada. Przecież Ty nie dasz, aby bez powodu ojcowie dziecka umierali z głodu! Oto ja córka za ich życie stoję...“

„Bądź wola Twoja, przyjdź królestwo Twoje!...“

Tak się bywało naprasza dziewucha, a Pan Bóg w niebie z Matką Boską słucha.

Raz — ci usnęła dziewczyna z północka, przy chorym ojcu swoim czuwająca; aż tu jej we śnie schodzi Matka Boska i białą lilią dziewuchę potrąca i rzecze do niej:

— Nie frasuj się dłużej, ja się żałości Twojej ulituję i pocieszenie przyniosę ci w smutku. Spojrzyj, te kwiatki znajdziesz w swym ogródku jutro, gdy słonko zabłyśnie na niebie; modremi oczy popatrzą na ciebie, cienkiemi prątki z ziemi się podniosą i świecić będą brylantową rosą. Narwij tych kwiatków dużo, dużo, dużo, a one Tobie dobrze się przysłużą i znajdziesz skarb w nich i będziesz bogata i dobrodziejstwo weźmiesz z nich dla świata!...

Dziewucha patrzy i dziwi się wielce, a nie śmie przerwać Bożej Rodzicielce i nie śmie spytać, jaki to pożytek dać mogą kwiatki z modremi oczyma, które Najświętsza w Swojej dłoni trzyma.

Na drugie rano do ogródka bieży; patrzy i własnym oczom nie uwierzy...

Kędy ci spojrzy na wczorajsze grzędy, drobnego kwiecia jakby nasiał wszędy; kwiatek maluchny a łodyżka długa kłoni się do niej i jak żywa mruga, i zda się wołać: „A rwijże mnie żywo, jako ci Matka Najświętsza kazała!...“

Ale dziewczyna osłupiała stała, patrząc na takie niepojęte dziwo i załamała ręce, i w płacz!...

— Boże, Boże, a któż mi biednej radą dopomoże!... mam ci ja skarby pono z łaski nieba, a nie wiem, jak się zabrać do nich trzeba.

I przepłakała cały dzionek prawie.

Nocą w komorze usnęła na ławie i niby śpi to, niby jeszcze czuwa...

Naraz — o Jezu! — widzi, jak do chaty przyleciał anioł śliczniutki, skrzydlaty, a za nim drugi, a za drugim trzeci, i czwarty, piąty, i dziesiąty leci, i pełna izba roi się aniołów; naprzynosili jakichś kółek, stołów, nicianych motków, przędzy, kołowrotków i nuż się krzątać, nuż warsztat zakładać.

W mig ustawili wszystko, jak należy, a wtedy w progu u otwartych dźwierzy stanęła sama Przeczysta i rzeknie, rzuciwszy okiem pilnie na wsze strony:

— Bóg z wami!... niechaj będzie pochwalony!...

A aniołowie odrzekli:

— Na wieki!..

Potem Najświętsza, co króluje światu, podeszła zwolna sama do warsztatu i tym aniołom, co koło Niej stali — kazała, aby płótno przy niej tkali i przywołała dziewczynę i mówi:

— Patrzaj ty jeno i uważaj sobie, jako ja pasma z onych nitek robię.

I sama nitkę zadzierzgnąwszy cienką, wraz po warsztacie puściła czółenko i tkała cudne płótno przy dziewusze, ucząc ją tkactwa paluszkami swemi.

Dziewczyna przy Niej uklękła na

ziemi, rączki złożyła niby mówiąc pacierz, a nad nią jaśni stali aniołowie...

Więc jako córę swoją uczy macierz, tak Matka Boża uczyła dziewczynę, jak ma hodować tę wiotką roślinę, co modro kwitnie, a co lnem się zowie, jak ma ją potem przerabiać na przędzę, a z przędzy płótno tkać równe i białe, by niem okrywać z chłodu drżącą nędzę...

Całą noc w kmiecej przesiedziała chacie litosna Pani w Swoim majestacie i aż nad ranem, gdy zapiały kury, z Swoją asystą wzniosła się do góry; dziewczyna skromnie na klęczkach została, jako lilijka pochylona biała, a że z niej córka na wzór innym była, z pierwszego płótna, co sama utkała, ojcu i matce koszule uszyła.

Bóg błogosławił dziewczęcej robocie, — robiła płótno, a chodziła w złocie...

Do czytelni!

Do czytelni, jak do zdroju
Iśćbym rada w każdy dzień...
Dobra książka myśl wzbogaci,
Uczy cnoty a zło traci.
Więc po książki w każdy dzień,
Jak do zdroju, jak do wody
Idzie stary, idzie młody,
Śpi za piecem tylko leń.

Do czytelni, jak do żniwa
Idę z pieśnią, idę w lot,
Tam ptak nuci, wicher gada,
A tu książka opowiada
I myśl rwie się za nią w lot,
Ile snopów na zagonie,
Tyle skarbów rośnie w tonie,
Serce bije jako młot.

Do czytelni, jak do słonka,
Któż nie pragnie w słonku żyć?...
Bez czytania mrok dokoła,
Ciemne serca, chmurne czoła,
Człek nie umie duszą żyć...
Książki jasność sieją wkoło.
O! z książkami tym wesoło,
Co umieją miód z nich pić!

Do czytelni! Siostry! Bracia!...
Gdy chęć szczera, spieszmy wraz,
Tam są skarby nad skarbami,
Tam są dary nad darami.
Tylko czerpać spieszmy wraz,
A nadejdą lepsze lata,
Gdy rozszerzy się oświata
I ciemnoty zniknie głaz.

Jadwiga z Łobzowa.

Wojciech Bartos Głowacki.

Na cześć rolnika, którego imię i nazwisko wypisaliśmy powyżej, wzniesiono świeżo dwa pomniki: jeden przed dwoma laty nad Wisłą w Tarnobrzegu, drugi w roku bieżącym, we Lwowie. Pierwszy z nich odsłonięto uroczyście dnia 9. września 1904, drugi w dniu 8. lipca tego roku. Odsłonięto je wśród licznych uroczystości, w których brały udział tysiące ludzi, bogatych i ubogich, starych i młodych, uczonych i prostaczków. I wszyscy ci ludzie biegli radośnie do stóp pomników, przedstawiających dziarskiego chłopa z kosą w dłoni i obsypywali je kwieciem i ozdabiali wieńcami chwały.

Na cześć chłopa tego w krakowskiej sukmanie wygłaszano całe szeregi mów serdecznych i prostych, to znów poetycznych, lub uczonych, rozlegały się dźwięki muzyki, śpiewały chóry, grzmiały okrzyki...

Dlaczego to wszystko czyniono?

Możnaby na to pytanie krótko odpowiedzieć: To naród polski czcił jednego z walecznych swoich obrońców, dziękował mu za męstwo i waleczność.

Tak — lecz dlaczegoż właśnie temu krakowskiemu chłopu niesiono wawrzyny i hołdy składano; czyż to on jeden odznaczył się pośród nas męstwem i walecznością, czyżto nie mieliśmy tysięcy innych walecznych rycerzy i wojaków, mężnych bohaterów?

Niewątpliwie mieliśmy ich tysiące, a jeżeli chcecie wiedzieć dlaczego właśnie tego wyróżniono, który stoi wykuty w kamieniu pomników we Lwowie i Tarnobrzegu, to posłuchajcie cierpliwie, a opowiem wam dzieje jego.

Około roku 1756, we wsi Rzędowicach, w województwie krakowskiem, o kilka mil na północ od Krakowa położonej, urodził się zagrodnikom Bartosom chłopak, któremu na chrzcie świętym dano na imię Wojciech. Gdy kumy małego Wojtusia po uroczystym chrzcin obrzędzie matce jego odnosiły, a tak samo i długo jeszcze potem, nikt nie przeczuwał, że dzieciakowi temu stawiać będą kiedyś pomniki i wieńczyć je wawrzynem chwały. Wojtuś chował się zdrowo, był sprytny i żwawy, lecz podobnych chłopaków w Rzędowicach nie brakowało.

Mijały lata, Wojtuś Bartos wyrósł na tęgiego Wojciecha, dziarskiego parobka, co to według przysłowia był do tańca i do różańca — roboty się nie wzdrygał, ale i do zabawy nie był ostatnim, słowem był takim, jak go opisuje znana piosenka:

„Bo czy w karczmie, czy w domu,
Czy to taniec, wesele,
Nie dał bruździć nikomu,
Wszędzie sam był na czele“.

Nie dziw, że taki gracki parobek, osiadły jako zagrodnik na czterech morgach, wcześnie się ożenił z piękną dziewczyną Jadwigą Czernikówną i w młodym wieku doczekał trzech córek: Heleny, Cecylii i Justyny.

Gdy tak wśród znojnej pracy rolnika, a od czasu do czasu wśród wesołej zabawy, upływało jednostajnie życie Wojciecha Bartosa, na polskiej ziemi zachodziły rozmaite nader ważne wydarzenia i zmiany.

Polska była wolną Rzecząpospolitą, w której zawsze panowała większa wolność, aniżeli równocześnie gdzieindziej na świecie. Wprawdzie z wolności tej nie wszyscy w równej mierze korzystali, to przecież jednak u nas wolnych ludzi było daleko więcej, niż w innych krajach. Nie było z drugiej strony takich niewolników, jakimi byli włościanie w Niemczech, Moskwie, a nawet i Francyi, gdzie szlachcic był panem życia i śmierci swoich poddanych; mógł ich sądzić, na śmierć skazywać, darowywać, sprzedawać, jak to czynił n. p. jeszcze przy końcu osiemnastego wieku w Niemczech książę heski, który chłopów swoich podczas wojny o niepodległość północnej Ameryki, sprzedawał za pieniądze Anglikom na żołnierzy!

Zachowaną przytem była u nas ta sprawiedliwość, że większe prawa pociągały za sobą znaczniejsze obowiązki; tak n. p. stan rycerski, który w całej pełni używał wolności, obierał króla i rządził krajem, obowiązanym był za to do bronienia ojczyzny mieniem i życiem swojem, gdy tymczasem mieszczanie i wieśniacy, od obowiązku tego byli zupełnie wolnymi.

W dobrach prywatnych odrabiali wieśniacy pańszczyznę, lecz we wsiach królewskich nie znali jej wcale, opłacając jedynie mały czynsz z dzierżawionych gruntów. Takich wsi królewskich było bardzo dużo, a dochody z nich szły na utrzymanie króla, urzędników, szkół, wojska i t. p. tak, że podatków stałych wcale nie znano i płacono je jedynie wyjątkowo, w razie wojny, lub jakiej nadzwyczajnej potrzeby Rzeczypospolitej. To też na żyznej ziemi naszej pa-

nował dobrobyt, jakiego obecnie nadaremnieby szukał na świecie.

Dobrobyt ten jednak i wolność nasza wzbudzały zazdrość państw ościennych i zawiść ich rządów, które panując samowładnie nad swoimi poddanymi i uciskając ich srodze, obawiały się, by ci nie zażądali takich samych swobód i wolności, jakiemi cieszyli się Polacy.

Dopóki Polska była potężną, zawiść ta i zazdrość nie wiele jej szkodziły, lecz gdy osłabła pod rządami Augusta II. i III., którzy zasiadając kolejno na tronie polskim, myśleli nie o szczęściu Rzeczypospolitej, lecz o swoich osobistych celach i by je osiągnąć schlebiali możnym, rozpajali i niewieścili szlachtę, a sprzymierzali się z największymi wrogami Polski i gdy wskutek tego szlachta straciwszy dawny hart i męstwo, zmieniła się z rycerzy, broniących ojczyzny i wolności, w posiadaczy majątków ziemskich, w rolników myślących jeno nad wyciągnięciem jak największych dochodów z roli, przyszły ciężkie czasy na Rzeczpospolitą. Z osłabienia jej skorzystała caryca moskiewska Katarzyna i porozumiawszy się z królem pruskim, a przypuściwszy do spółki Austryę, zagarnęła część Litwy i Rusi, podczas gdy król pruski zabrał województwa położone nad morzem Bałtyckiem, a Austrya południowo-zachodnią część Rzeczypospolitej wzdłuż gór Karpackich.

Bezprawie to, dokonane w r. 1772 na osłabionej Rzeczypospolitej, zwane pierwszym Polski rozbiorem, dotknęło Polaków do żywego i pobudziło do szukania sposobów ratunku. W tej części Rzeczypospolitej, która ocalała od grabieży sąsiadów, zaczęto przemyśliwać nad ulepszeniem i taką zmianą praw, iżby cały naród, a nie tylko sama szlachta, używał zupełnej wolności, ale za to też cały naród był obowiązanym do bronienia ojczyzny.

Przemyśliwania te doprowadziły w r. 1791. do ustanowienia słynnej na świat cały ustawy, zwanej od dnia jej uchwalenia przez Sejm zgromadzony w Warszawie, Konstytucyą 3-go Maja.

Konstytucya ta wzmacniała rząd Rzeczypospolitej, a zarazem dążyła do zrównania całego narodu przez stopniowe przypuszczenie do stanu rycerskiego mieszczan i włościan.

„Złota wolność“ miała być z czasem udziałem wszystkich Polski mieszkańców.

Naród polski z radością przyjął Konstytucyę 3-go Maja — przeraziła się nią jednak caryca moskiewska Katarzyna, przeciągnęła na swoją stronę kilku magnatów polskich, którzy obawiali się utraty swoich przywilejów i pozyskawszy z ich pomocą bojaźliwego króla Stanisława Augusta, udaremniła walkę, toczoną przeciw jej wojskom.

Straszne nieszczęścia spadły teraz na Polskę — Konstytucyę 3-go Maja zniesiono, a Moskwa połączywszy się z Prusami, wymusiła odstąpienie sobie i Prusom nowych obszarów ziemi naszej. Był to drugi rozbiór Polski w r. 1793.

Wobec niego naród postanowił sam myśleć o losach swoich. Wybrał sobie na Najwyższego Naczelnika generała Tadeusza Kościuszkę, który walczył za wolność w Ameryce, a w roku 1792, broniąc Konstytucyi 3-go Maja, okrył się chwałą w bitwie pod Dubienką i pod jego wodzą postanowił rozpocząć bój z Moskwą i Prusami.

Wojciech Bartos, pracując na roli w Rzędowicach, nie brał, z natury rzeczy, czynnego udziału w opisanych wyżej wypadkach, wiedział jednak o nich; wiedział jaką wolność przygotowywała włościanom Konstytucya 3-go Maja, odczuwał krzywdy wyrządzone Rzeczypospolitej przez drapieżnych sąsiadów: Prusaków i Moskali. To też gdy doszła

do Rzędowic wieść, że Najwyższy Naczelnik Tadeusz Kościuszko, przysiągłszy narodowi na Rynku krakowskim, dnia 24. marca 1794 r., pociągnął w bój przeciw najezdnikom i wezwał lud ziemi krakowskiej do broni, Wojciech Bartos nie wahał się ani chwili, lecz nabiwszy na sztorc i wyostrzywszy swoją kosę, postanowił iść w bój za ojczyznę. Za jego przykładem poszli inni rzędowiccy chłopi. Z kosami w dłoni, z kościelną chorągwią na czele, pociągnęli do obozu Naczelnika, który znajdował się właśnie niedaleko od Rzędowic, pod Luborzycą.

Naczelnik przyjął wdzięcznie ochotników rzędowickich i oddał pod komendę pana Ślaskiego, formującego regiment grenadyerów krakowskich. W kilka dni później, wyćwiczeni już nieco w obrotach wojennych, znaleźli się Rzędowiczanie dnia 4. kwietnia 1794, pod Racławicami.

Najwyższy Naczelnik ujrzawszy na górze Kościejowską zwanej, zbliżających się Moskali, ustawił na prawo i lewo swoją jazdę, piechotę i artyleryę, regiment zaś grenadyerów krakowskich, złożony z samych kosynierów, umieścił w środku swoich szyków, przy drodze głęboko w grunt wciętej, która spadała ku dolinie, a następnie wspinała się na Kościejowską górę.

Tymczasem Moskale rozdzielili się na trzy oddziały, jeden poszedł na prawo, w celu uderzenia na nasze lewe skrzydło, drugi na lewo, by obejść nasze prawe, a trzeci posunął się ku kosynierom i zaczął do nich strzelać z kilkunastu armat.

Kosyniery pierwszy raz słyszały jak kule gwiżdżą — lecz stały mężnie, przysłuchując się ze szumem i trzaskiem przelatującym nad ich głowami pociskom armatnim. W pierwszych ich szeregach stali Rzędowiczanie, a na ich czele Wojciech Bartos, niby dąb wspaniały.

W tem przed ich szeregi przypadł na koniu Najwyższy Naczelnik, wskazał na moskiewskie armaty i zawołał: „Dalej wiara! zabrać im te armaty! Kosyniery naprzód!“

Bartos spojrzał na Naczelnika, podrzucił kosę w górę, a chwytając ją napowrót krzepką dłonią, huknął co piersi stało: Wiwat wolność! Wiwat Kościuszko! i z pochyloną głową ruszył biegiem naprzód.... Wiwat wolność! Wiwat Kościuszko! powtórzyły setki głosów i kolumna kosynierska, niby smok stugłowy, błyszcząca stalową kos szczecią, pomknęła śladem Bartosa, prosto na moskiewskie armaty.

Przed ich czarnemi paszczami przemknęła błyskawica, zagrzmiało straszliwie — w kolumnie kosynierów ten i ów ciężko na ziemię się zwalił — lecz głośniej od huku dział zabrzmiał głos Naczelnika, kłusującego przed kolumną na koniu: Naprzód wiara! Śmierć lub zwycięstwo! a Bartos dał susa, jakby chciał odrazu wskoczyć na daleką jeszcze działobitnię i znów huknął: Wiwat wolność! Wiwat Kościuszko!

Kosyniery odpowiedziały mu tym samym okrzykiem i po przez trupy, zagradzające im drogę, pomknęły naprzód jak burza.

Znów działa zagrzmiały i kartacze zadzwoniły po kosach — lecz teraz już nie potrzebowali zachęty — zapał rozsadzał im piersi, zdało im się, że te trupy, które zostawili za sobą wołają, na nich: pomścijcie nas!

Wiwat wolność! Wiwat Kościuszko! i suną w górę obces na armaty.

Bartos pierwszy do nich doskoczył, spojrzy, a tu kanonier przykłada już lont zapalony do armatniej panewki pełniuteńkiej prochu! Za daleko było,

by kanoniera dosięgnąć kosą, więc chwyta z głowy krakuskę i ciska ją na panewkę — zesypał się proch, lont zagasł, a Bartos szybki jak błyskawica, cięciem kosy powala kanoniera i wsiada na armatę, na drugą wskakuje Stach Świstacki, grzmi okrzyk: Wiwat Kościuszko! i kosyniery jak fala potopu zalewają działa.

Kanoniery padają pod cięciami kos krakowskich, jak trawa na łące — piechota idzie im w pomoc — skrzyżowały się na mgnienie oka kosy i bagnety i już Moskale pierzchają w szalonym popłochu, a kosyniery pędzą za nimi z Bartosem na czele, rąbiąc kosami na prawo i lewo.

Atak kosynierów i wzięcie przez nich dwunastu armat moskiewskich rozstrzygnęły zwycięstwo — środkowy oddział Moskali padł pod kosami regimentu grenadyerów krakowskich, drugi rozbity przez piechotę polską lewego skrzydła poszedł w rozsypkę, a trzeci, co obchodził nasze prawe skrzydło, widząc powszechny pogrom, pierzchnął z placu boju.

Zwycięstwo było zupełne. Całe nasze wojsko biło się znakomicie, lecz palma pierwszeństwa należała się kosynierom, a wśród nich Bartosowi. Naczelnik, który wraz z kosynierami wpadł na moskiewskie armaty, widział męstwo Bartosa, widział jego czyn pełen poświęcenia i przytomności umysłu, gdy Bartos zmieceniem prochu z armatniej panewki ocalił życie kilkunastu, a może i kilkudziesięciu swych towarzyszy. Dziękując więc po bitwie kosynierom za męstwo i poświęcenie, wyszczególnił Bartosa nad innych i zamianował go chorążym krakowskich grenadyerów. W ówczesnem wojsku polskiem był to stopień oficerski i znaczył tyle, co teraz lajtnant w wojsku austryackiem.

Niedosyć tego, jakiś szlachcic Głowacki, świadek męstwa Bartosa, zachwycony jego poświęceniem, przyjął go dawnym obyczajem polskim do herbu i nazwiska. Tak więc Wojciech Bartos zamienił się wśród ognia dział racławickich w oficera, pana chorążego, w szlachcica i zaczął się zwać odtąd Wojciech Bartos Głowacki, co później przekręcono na Bartosza Głowackiego i niejeden mniema, że mężnemu kosynierowi było na imię Bartosz, gdy tymczasem Bartos, to jego dawne nazwisko rodowe, a imię chrzestne Wojciech.

Po zwycięstwie racławickiem Najwyższy Naczelnik pociągnął z wojskiem narodowem pod Kraków do Bosutowa, a następnie wzdłuż Wisły, przez Pleszów, Igołomię, Korczyn do Połańca. Tu osłoniony z trzech stron Wisłą, okopał się i oczekując przybycia generała Grochowskiego, który zbierał naszych wojaków w lubelskiem i sandomierskiem, ćwiczył swoje wojsko w obrotach wojennych.

Moskale krążyli około obozu Kościuszki, ale pomni na cięgi otrzymane pod Racławicami, nie śmieli go zaczepiać, gdy zaś generał Grochowski przeszedł Wisłę w ostatnich dniach maja pod Rachowem, zaczęli się szybko cofać ku miastu Żarnowcu nad Pilicą. Naczelnik połączył się z generałem Grochowskim i ciągnął za Moskalami, chcąc ich przymusić do stoczenia bitwy. Wojsko nasze liczyło 15 tysięcy ludzi, a w tem kilka tysięcy kosynierów. Na czele ich maszerował regiment grenadyerów krakowskich, a w pierwszych jego szeregach kompania imci pana chorążego Wojciecha Bartosa Głowackiego.

Dnia 6. czerwca 1794. znalazł się nasz Wojciech z kosynierami swoimi w bitwie pod Szczekocinami.

Stosownie do rozkazów Naczelnika artylerya i piechota polska zajęły lewe

skrzydło i środek, oraz pierwszą linię skrzydła prawego. Na prawem w drugiej linii stanęły kosyniery, osłonięte od prawej strony jazdą.

Bitwa wrzała od rana i była zaciętą, gdyż przeciw naszym walczyło przeszło 30 tysięcy Prusaków i Moskali. Artylerya nasza i piechota stawały mężnie. Regimenty piechoty 1-szy i 2-gi okryły się niespożytą chwałą, a te które stały na prawem skrzydle przed kosynierami, posuwały się zwycięsko naprzód.

Kosyniery stojąc na tem skrzydle w drugiej linii do popołudnia niewiele miały do czynienia, dopiero o tym czasie Naczelnik zjawił się przed ich szeregami i poprowadził je po przez odstępy pomiędzy regimentami piechoty przeciw jeździe nieprzyjacielskiej.

Czternaście moskiewskich i kilka szwadronów jazdy pruskiej, t. j. przeszło 2 tysiące kilkaset koni pędziło na kosynierów — ziemia się trzęsła pod kopytami tego lotem burzy pędzącego tabunu i zdało się, że mu się nic oprzeć nie zdoła — ale nasze zuchy nie straciły fantazyi.

W trójki wiara! krzyknął Głowacki na swoich kosynierów i wnet kompania jego zmieniła się w trzydzieści kilka trójek ludzi przypartych do siebie i jakby zrosłych plecami, a osłonionych kosami jak jeże. Za jej przykładem poszły inne kompanie, i wnet całe pole przed szarżującą jazdą zmieniło się w mrowie takich trójek, które pochwyciły jedźców w żelazne kos uściski.

Raz wpadłszy pomiędzy trójki jazda już z pośród nich wydobyć się nie mogła. Wobec długich kos szable nie na wiele się zdały. Powstał straszny pogrom, z którego zaledwo garstka niedobitków wyplątać się zdołała. Garstka ta uciekając w dzikim nieładzie, wpadła na spieszącą jej z pomocą moskiewską piechotę i w srogi wprawiła ją zamęt.

Piechota pierzchła w nieładzie, kosyniery z radosnem hura! rzucają się jej śladem — na przedzie pędzi Bartos, wielki groźny, wspaniały....

Słońce wyjrzało z poza chmur i snopami światła oblało Bartosa i zwycięskich kosynierów — białe i szare sukmany, czerwone krakuski, pawie pióra i stalowym połyskiem błyskające kosy.

W tem jedna z uciekających kompanii, wstrzymana jakąś przeszkodą, odwróciła się i sypnęła ogniem karabinowym na kosynierów Bartosa. Ten swoim zwyczajem podrzucił kosę w górę i huknął: Naprzód wiara! lecz nagle pobladł śmiertelnie i runął na ziemię....

Naczelnik po całodziennej rozprawie, ruszył drogą ku Warszawie wiodącą. Ciężko ranionego Bartosa zabrał z pola bitwy ze sobą i otoczył wszelką możliwą opieką. Niestety, rana mężnego kosyniera była śmiertelną... W trzy dni później złożono Wojciecha Batosa Głowackiego, chorążego krakowskich grenadyerów, z honorami wojskowymi na kieleckim cmentarzu, a sam Najwyższy Naczelnik pożegnał go na spoczynek wieczny.

A teraz chyba już wiecie, dlaczego jemu właśnie naród stawia pomniki, chociaż nie on jeden i nie on pierwszy stanął na wezwanie powstającej ojczyzny. Wojciech Bartos okrywając się chwałą w bitwie pod Racławicami, stał się uosobnieniem poświęcenia, które wiodło lud rolny w r. 1794. pod chorągwie Kościuszki, uosobnieniem i wprowadzeniem w życie wzniosłego dążenia Konstytucyi 3-go Maja do zrównania narodu przez przypuszczenie do praw rycerskiego stanu wszystkich Polski mieszkańców, uosobnieniem wreszcie przeświadczenia, że kto żąda praw od ojczyzny, ten musi się poczuwać do obowiązku służenia jej krwią i życiem własnem.

Wojciech Bartos Głowacki nie tylko poczuwał się do obowiązku tego, lecz świecił innym w poczuciu tem przykładem i poświęceniem, więc wieńce chwały, więc pamięć i cześć słusznie mu się należą. *Inż. E. Śmiałowski.*

Ty się chwalisz.

Ty się chwalisz, że masz pola
Aż dziesięć zagonów...
Lecz ja pytam, ile Polsce
Przyniosłeś już plonów!

Ty się chwalisz, że masz chatę
Piękną, murowaną...
Lecz ja pytam, czy masz swoję
Ojczyznę kochaną.

Ty się chwalisz, żeś najpierwszy
Do tańca, do śpiewu,
Lecz ja pytam, coś ty zrobił
Dla przyszłości siewu.

Ty się chwalisz, żeś parobczak
Do każdej roboty,
Pokaż że mi, do oświaty
Ile masz ochoty...

Teraz przyszły inne czasy,
Teraz lud się budzi;
I dziewczyna tego kocha,
Kto się w Polsce trudzi.

Nie dość tego, że służyłeś
W wojsku przez trzy lata,
Teraz służyć trzeba Polsce,
Aż śmierć sprzątnie z świata.

Zdjąłeś mundur, wdziej sukmanę,
Stawaj do szeregu;
Wszyscy razem, do roboty
Od brzegu do brzegu!...

Tępić wady, zbierać cnoty,
To Polaka chwała...
O to staraj się, gdy pragniesz
Bym ciebie kochała!...

Jadwiga S.

Publiczne Biura Pośrednictwa Pracy.

W marcu roku 1903 otrzymała zatwierdzenie cesarskie ustawa, uchwalona w Sejmie naszym, o biurach pośrednictwa pracy. Na mocy tej ustawy powstał już szereg biur pracy, a przeto czas i pora podać wiadomość o tej nowej a ważnej dla ludności roboczej rzeczy.

Aby zrozumieć, w jakim celu zakłada się biura pracy, trzeba sobie uprzytomnić, jak obecnie postępują ludzie, którzy pragną znaleźć pracę, zarobek lub służbę. Postępują rozmaicie. Jedni dowiadują się od znajomych i sąsiadów, że tam a tam trafia się sposobność do pracy. Sposób ten bardzo często jest zawodnym. To, co ludzie mówią, nie zawsze jest pewnem, bo opiera się nieraz na pogłoskach, w których tylko mała część jest prawdy, nieraz są one zupełnie fałszywe. Jeżeli nawet wiadomość pochodzi od ludzi, którzy sami tam byli i doświadczyli tego, czego innym doradzają, to jeszcze niewiadomo, czy stosunki się tymczasem nie zmieniły. Praca jest jak towar: dziś go brak, więc dobrze zań płacą, jutro jest go już więcej niż potrzeba i towar traci cenę: wreszcie, gdy nawet wieści są zupełnie prawdziwe, to jednak nigdy nie są dokładne i szczegółowe.

Nasz Mazur, który za dobrym zarobkiem gotów jest pójść na kraj świata, nieraz bardzo smutne zbiera doświadczenia z powodu braku dokładnych i pewnych wiadomości o warunkach pracy, o czem dopiero na miejscu się dowiaduje.

Inni np. robotnicy fabryczni, czeladź rzemieślnicza, mają zwyczaj, że szukają pracy, wędrując z miejsca na miejsce, rozpytując po fabrykach, warsztatach itd., czy nie potrzeba tam przypadkiem

rąk do pracy. Ten środek jest zwyczajnie stratą czasu i pieniędzy i wywołuje włóczęgostwo. W niektórych krajach (np. w Czechach) ten sposób szukania pracy jest tak powszechnym, że musiano z funduszów publicznych założyć tak zwane „stacye zaopatrzenia“, które dają wędrującym robotnikom nocleg i strawę za darmo lub za bardzo nizką opłatą.

Inni, szukając miejsca lub służby, ogłaszają się po gazetach. To kosztuje zawsze dosyć pieniędzy i można się całymi miesiącami ogłaszać, a pracy nie znaleźć.

Jeszcze inni — a tych może jest najwięcej — udają się do ludzi, którzy z pośrednictwa zrobili sobie zarobek i z tego żyją.

Są to zawodowi agenci, którzy handlują pracą ludzką jak kupiec towarem. Że handlują pracą ludzką, to ostatecznie nie byłoby może potępienia godnem, gdyż kto przy pomocy agenta dostanie dobry zarobek, chętnie zapłaci pewną kwotę. Tak samo ten, kto przez niego pozyska prędko i na czas dobrego robotnika lub sługę, również chętnie zapłaci prowizyę. Niestety stręczyciele pracy handlują nią przeważnie w sposób nieuczciwy, a chęć zysku wyradza się u nich w wyzysk. Łatwość zarobku przyciąga ludzi o bardzo wątpliwym charakterze i giętkiem sumieniu.

Nasi robotnicy polscy jadący do Niemiec, „obieżysasi“ — jak ich nazywają — mogliby z własnego doświadczenia opowiedzieć nie jedną ciekawą sprawkę agentów. Byli i są tacy, co z pracodawcą w Niemczech zawierali taką umowę, iż wypłata zarobku odbywała się do rąk agenta, a ten dopiero wypłacał zarobek ludziom, oczywiście potrącając grubą część dla siebie. Agent werbując robotników, będzie obiecywał złote góry, a robotnik dopiero na miejscu przekonuje się, że naprawdę otrzymuje takie wynagrodzenie, mieszkanie itp., iż nigdyby się pracy nie podjął, gdyby był z góry wiedział. Nawet wtedy, gdy agent jest zupełnie uczciwy (trafiają się czasem i tacy), żąda oczywiście zawsze za swoją usługę zapłaty. Tymczasem właśnie robotnik pozbawiony pracy z trudnością tylko może się agentowi opłacić, kto zaś zupełnie nie ma na to środków, nie ma możności korzystania z pośrednictwa agenta.

Wogóle w zakresie pośrednictwa pracy wyrobiły się wszędzie i u nas i gdzieindziej — bardzo smutne stosunki, tem bardziej smutne, że dotykają biednego robotnika w chwili najcięższej, t. j. w chwili braku pracy. Gdzie się dzieje źle, tam władza publiczna ma obowiązek dla dobra publicznego pospieszyć z pomocą. Pomoc polega w tem, że zakłada się b u b l i c z n e b i u r a p o ś r e d n i c t w a p r a c y. To nie jest wcale wynalazek naszego sejmu. Już od dawna we wszystkich państwach i krajach powstają takie biura, a ponieważ okazały się bardzo pożytecznemi, więc słusznie i u nas dobry i wypróbowany przykład się naśladuje.

Biuro pracy jest u r z ę d e m i tak właściwie powinno się nazywać, który zajmuje się pośrednictwem pracy, to znaczy każdemu, kto szuka jakiejkolwiek pracy, zarobku, służby itd., udziela pomocy, rady, wskazówek, gdzie i na jakich warunkach może pracę dostać. Z drugiej strony przyjmuje biuro zgłoszenia pracodawców, t. j. tych, którzy poszukują robotników i sług, a mając zgłoszenia jednych i drugich, łączy je ze sobą czyli pośredniczy.

Od szukających pracy nie pobiera biuro ż a d n y c h o p ł a t, żaś od pracodawców tylko bardzo małe opłaty, jest bowiem urzędem utrzymywanym z funduszów publicznych, któremu nie cho-

dzi o zysk, który ma na oku dobro ogólne, i jest pod tym względem podobnem np. do szkoły publicznej, szpitala publicznego itp. Takie biura postanowiła zakładać u nas w kraju przy wydziałach powiatowych i miastach wspomniana na początku ustawa sejmowa. Jak każda rzecz nowa spotkała się i ta z pewnem niedowierzaniem, pochodzącem z braku dokładnych wiadomości i nieznajomości rzeczy. Są tacy, co mówią, że „te biura uchwalili panowie, aby mieć taniego robotnika“. To nie prawda i łatwo to wykazać. Biura nie są przymusowe dla nikogo, nikt nie musi korzystać z biura pracy, każdy zgłasza się tam dobrowolnie, a ten kto się zgłosił, nie może być żadnym środkiem zmuszonym, aby przyjął pracę na warunkach, którychby dobrowolnie przyjąć nie zechciał. Jeżeliby nawet biuro chciało dostarczyć komuś „taniego“ robotnika, jakże to zrobi, skoro nikogo zmusić nie może, aby za nizką płacę zgodził się do pracy?

Jak wspomniano, już obecnie założono 15 biur powiatowych, a zwolna dojdzie do tego, że w każdym powiecie będzie publiczne biuro pośrednictwa pracy. Nadto istnieje Miejskie Biuro pracy we Lwowie, a w zimie powstanie Miejski Urząd pracy w Krakowie.

Wszystkie biura stoją pod kierunkiem i nadzorem centralnego Krajowego Biura pośrednictwa pracy, założonego przy Wydziale Krajowym we Lwowie.

W chwili, gdy to piszemy, czynne są następujące biura pracy: Powiatowe: w Bochni, Brodach, Buczaczu, Chrzanowie, Kolbuszowej, Kołomyi, Limanowej, Łańcucie, Mościskach, Myślenicach, Nisku, Rzeszowie, Sanoku, Tanobrzegu (adres: Powiatowe Biuro pracy w ......), dalej Powiatowe Biuro pracy w Oświęcimie, dla powiatu Bialskiego, a wreszcie Miejskie Biuro pracy we Lwowie (ul. Arsenalska L. 6). Ponadto: Krajowe Biuro pracy we Lwowie (Gmach sejmowy).

W roku 1906 orwarte zostaną biura: w Krakowie, Wadowicach, Drohobyczu, Gorlicach, Kałuszu i inne, o których założeniu ludność miejscowa zaraz się dowie drogą ogłoszeń w gminach. na dworcach itp.

Pragnęlibyśmy, aby z publicznych biur pośrednictwa korzystało jak najwięcej ludzi. Podajemy następujące wskazówki:

1) Nie dajcie się wyzyskiwać agentom, biurom stręczeń, biurom wywiadowczym itp., zgłaszajcie się do publicznych biur pracy.

2) Biura pośredniczą w uzyskaniu wszelkiej pracy w kraju i za granicą, czasowej i stałej, pracy przy robotach rolnych, lasowych, ziemnych, służby domowej i gospodarczej, pracy w fabrykach, w rzemiośle, handlu itd. Umieszczają też uczniów czyli terminatorów w rzemiośle.

3) Biura nie pobierają od szukających pracy nigdy żadnych opłat, są zupełnie bezpłatne.

4) Biura nikogo nie zmuszają do przyjęcia pracy lub służby, jeżeli się zgłaszający dobrowolnie na ofiarowane warunki nie zgodzi.

5) Kto zgłasza się w Biurze, powinien być cierpliwym, jeżeli zaraz pracy nie otrzymuje. O pracę nie zawsze łatwo, a kto później się zgłasza. musi czekać, aż ci, co przed nim się zgłosili, pracę otrzymają.

6) Jeżeli w powiecie lub mieście jest Biuro, należy się zgłaszać w tem właśnie biurze: jeżeli nie ma, można się zgłosić w najbliższem biurze sąsiedniego powiatu. Kto chce iść do Niemiec, Danii itp. a nie ma w swoim powiecie biura, niech najlepiej zgłosi się w biu-

rze w Oświęcimie. Nie potrzeba zgłaszać się naraz do kilku biur, bo biuro, jeżeli nie może samo dać pracy, doniesie o tem wszystkim innym biurom.

7) Można się zgłaszać ustnie albo pisemnie, wprost albo przez urząd gminny. Urząd gminny obowiazanym jest bezpłatnie (bo tak nakazuje ustawa § 14) zgłaszających się zapisać i posłać do biura. Kto zgłasza się pisemnie, niech poda wyraźnie swoje nazwisko, adres, wiek i rodzaj pracy, jakiej poszukuje i od kiedy. Pisać krótko i bez wszelkich tytułów. Można napisać i na karcie korespondencyjnej.

8) Jeżeli z jednej gminy wybiera się większa ilość ludzi do takiej samej roboty, najlepiej niech zrobią wspólne zgłoszenie i podadzą adres jednego z pośród siebie, z którym biuro będzie się porozumiewać. Oczywiście można i pojedynczo się zgłaszać.

9) Kto zgłosi się w biurze, a potem rozmyślił się, albo dostał pracę w inny sposób, niech zaraz o tem biuro zawiadomi ustnie lub kartką, bo tego wymaga porządek.

Kto wybiera się na roboty do Niemiec, albo jedzie do Ameryki, niech wie, że w Oświęcimiu (naprzeciw stacyi) otworzoną została gospoda przez Związek katolicko-społeczny, gdzie można za małą opłatą i taniej niż gdzieindziej otrzymać nocleg i strawę.

To są wskazówki dla szukających pracy. Oczywiście — kto może pracę znaleźć łatwo i bez kosztów, ten do Biura nie potrzebuje się zgłaszać. Robotnik rolny, który np. w swojej wsi lub w pobliższej okolicy ma zapewniony dobry zarobek i chce tam pracować, nie potrzebuje oczywiście szukać pracy przez biuro.

Powtarzamy: Biura pośrednictwa pracy są rzeczą bardzo pożyteczną, niech wszyscy z zaufaniem do nich się zwracają, bo nie chodzi tu o zysk ani żadne cele uboczne, tylko o dobro ludności pracującej, o usunięcie wyzysku, o dostarczenie uczciwej pracy tym, którzy jej szukają, a rąk do pracy tym, którzy ich potrzebują i mogą zatrudnić. Biura utrzymywane z funduszów publicznych, a zatem właściwie z kieszeni wszystkich, powinno znaleźć życzliwe poparcie u wszystkich. Ludzi dobrej woli prosimy, aby przy każdej sposobności rozszerzali wiadomość o celach i zadaniach biur pracy. Udzielamy sami chętnie dalszych wyjaśnień, których też można zasięgnąć w poszczególnych biurach powiatowych i w Krajowem Biurze we Lwowie.

Z szczególniejszym naciskiem zwracamy się do tych, którzy postanawiają iść na robotę za granicę. Niech ci wszyscy zgłaszają się przedewszystkiem w powiatowych biurach pracy. Unikną przez to wyzysku wszelkiego ze strony niesumiennych agentów. Kto przez powiatowe biuro dostanie pracę, ten zostaje pod opieką urzędową władz krajowych, a gdyby mu się działa jakakolwiek krzywda za granicą, władze nasze przyjdą mu z pomocą i radą. Niech nikt nie słucha kłamliwych obietnic agentów, ani też nikt nie jedzie na oślep za granicę bez zawartej naprzód umowy.

Polska i jej granice.

(Ciąg dalszy).

Pod panowaniem władców z rodu Piasta, Polska przechodziła rozmaite, złe i dobre koleje, ostatecznie jednak stała się silnem i poważanem przez sąsiadów mocarstwem. Trwałe podwaliny

pod jej potęgę założył praprawnuk piastowy, Mieczysław I., który urodzony w r. 931. władał ojczyzną naszą od 962 do 992 roku. Był to mąż dzielny i znakomity polityk, tj. człowiek umiejący zręcznie i szczęśliwie kierować sprawami narodu. W czasie gdy Mieczysław I. obejmował rządy nad Polską, naród nasz wyznawał jeszcze wiarę pogańską, polegającą na oddawaniu czci siłom przyrody; graniczący zaś z nim od zachodu Niemcy, sąsiedzi Italii, gdzie wiara Chrystusowa najpierwej odniosła zwycięstwo i najszerzej się rozpowszechniła, byli już chrześcijanami. Walcząc z Niemcami, zapoznali się Polacy z prawdziwą wiarą, a urok jej wnet na nich oddziałał. Mieczysław I. ulegając temu urokowi, a zarazem pragnąc odebrać Niemcom pozór do walki z Polakami, przyjął w r. 965 chrzest święty, a z nim ochrzcił się cały podległy mu naród polski. Odtąd Niemcy nie mogli już prowadzić wojny z Polską pod pozorem szerzenia wiary chrześcijańskiej i nawracania na nią Polaków. Mimoto jednak nie miała Polska od nich spokoju i musiała odpierać ich zaborcze zapędy. Odpierała je zwycięsko, a dzień 24. czerwca 972. roku zapisał się na kartach dziejów, jako pierwsze historycznie stwierdzone zwycięstwo Polaków nad Niemcami, odniesione na polach Cydyna, pod wodzą brata królewskiego Cydebura.

Za panowania Mieczysława I. Polska stała się mocarstwem chrześcijańskiem, ucywilizowanem, a granice jej rozprzestrzeniały się od rzek Warty i Noteci do Karpat i od rzeki Odry do Dniestru i Bugu. Granice te miały się wkrótce rozszerzyć pod panowaniem syna i następcy Mieczysławowego.

Syn ten, Bolesław, dla dzielności swojej Chrobrym nazwany, wstąpił na tron polski, licząc lat 26, w roku 993. Obejmując rządy miał niemało trudności do pokonania, gdyż od zachodu Czesi, popierani przez Niemców, od wschodu zaś książe kijowski Włodzimierz napadli Polskę, sądząc, iż młody, niedoświadczony król nie potrafi stawić skutecznego oporu. Czesi, naród pobratymczy Polakom, lecz ulegający wpływom niemieckim, opanowali miasto Kraków i ziemię krakowską; Włodzimierz zaś zagarnął Lwów, Halicz i inne grody czerwieńskie, jak wówczas nazywano miasta, położone w teraźniejszej wschodniej Galicyi. Nie przeczuwali napastnicy, że zaczepili młodego lwa, który nie pozwoli bezkarnie praw swoich naruszać. Wkrótce zbyt dotkliwie przekonali się o tem.

Bolesław, zebrawszy wojsko polskie, uderzył na załogi Włodzimierza w grodach czerwieńskich, odebrał te grody i zwycięsko wtargnąwszy za Bug i Dniestr, przymusił Włodzimierza do zawarcia pokoju, poczem zwrócił się przeciw Czechom, od których w r. 999. oswobodził Kraków. Nie myślał jednak poprzestać na odzyskaniu tego co mu świeżo wydarto; potężny ciałem i duchem, genialny wódz i znakomity polityk, czuł w sobie siły do przeprowadzenia wielkiego dzieła: oswobodzenia i zjednoczenia wszystkich ziem zamieszkałych przez naród polski i pokrewne mu plemiona. Ziemie takie, położone na zachód od niepodległej Polski, pomiędzy rzekami: Odrą i Łabą, czyli Elbą, jęczały pod obuchem niemieckim; leżące zaś na wschodzie, nad Dnieprem, musiały znosić niewolę, narzuconą im przez książąt normandzkich, przybyłych ze Skandynawii, a nazywających się książętami ruskimi. Takim księciem ruskim, a właściwie normandzkim, był Włodzimierz I. książę kijowski, zwany wielkim, a nawet i świętym, z tej racyi, że w r. 988, żeniąc się z córką cesarza bizantyńskiego, panującego w Konstantynopolu, dał się

ochrzcić i wiarę chrześcijańską zaprowadził w podległych mu krajach. Dużoby można pisać o tej jego wielkości i świętości, w rzeczywistości bowiem Włodzimierz I. był niesłychanie rozwiązłym i nadzwyczaj srogim człowiekiem.

Bolesław, Polak z krwi i kości, panował nad narodem, z którego ród jego powstał i do którego należał; przeciwnie Włodzimierz, tak samo jak i wszyscy inni książęta ruscy, był najezdnikiem, niemającym nic wspólnego z narodem, który trzymał pod swoją władzą, a który to naród był całkiem taki sam, jak naród polski, o czem świadczy współczesny kronikarz kijowski Nestor, który kraj naddnieprzański nazywa wyraźnie „ziemią polską“, a zamieszkujący go lud Polanami, t. j. Polakami.

Przez cały czas trzydziestodwuletniego panowania swego Bolesław Chrobry dążył wytrwale do zamierzonego celu i po czternastoletnich, po mistrzowsku prowadzonych walkach z Niemcami, oraz po kilkakrotnych wyprawach na Kijów, osiągnął go w zupełności. Granice Polski rozpostarły się od Bałtyku poza Karpaty po górny Dunaj i Cisę, od Elby po Dniepru brzegi. Polska oparta na północy o Bałtyckie morze, obejmowała na zachodzie kraje rozciągające pomiędzy Elbą a Odrą, na południu Morawę, oraz Słowacczyznę położoną na południowym stoku Karpat, na wschodzie dzisiejszą Ukrainę. Oswobodziwszy w ten sposób i zjednoczywszy ziemie polskie, wielki król, zajął się ubezpieczeniem granic, oraz wewnętrznem urządzeniem kraju i dopiero, gdy dzieł tych znakomicie dokonał, dał się ukoronować w roku 1024.

Bolesław Chrobry rycerz i wódz znamienity, był zarazem surowym, stanowczym, ale dobrym i sprawiedliwym władcą narodu i potrafił sobie w sercach jego taką miłość pozyskać, że gdy umarł, dnia 28. listopada 1025 roku, naród rok cały nosił po nim żałobę, wstrzymując się od wszelkich uciech i zabaw publicznych, chociaż nikt go do tego nie zmuszał, a uciechy te i zabawy, były nader ulubionemi i stanowiły jedną z ówczesnych cech narodowych.

Bolesława Chrobrego przedstawiają powszechnie jako wielkiego zdobywcę. Przedstawianie go takim jest z gruntu fałszywem; Chrobry nie zabierał cudzych krajów, nie podbijał obcych narodów — czy szedł na Niemców za Odrę i Elbę, czy brał Kijów i uderzał mieczem o złotą jego bramę, zawsze oswobadzał tylko uciśnionych współrodaków i odbierał zagarnięte przez obcych najezdników kraje. Był więc mężnym i walecznym oswobodzicielem, a nie zdobywcą.

Czcijmyż więc Bolesława Chrobrego jako oswobodziciela, a zarazem, za przykładem współczesnego kronikarza, jako ukochanego przez poddanych władcę, który to kronikarz opisując powszechny żal narodu po zgonie wielkiego króla, sam także wylewa ból swój w wierszowanej mowie, a kończy ją rzewnemi słowami:

„I ty miły czytelniku, byłbyś iście grzesznik wielki,
Gdybyś ze mną nie uronił na tę kartę łzy kropelki“.

Inż. E. Śmiałowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z wycieczki na Śląsk.

P. Marya Kleniewska z Królestwa, opisała wycieczkę włościanek na Śląsk, podjętą w celu naocznego przekonania się, jak to tam ludzie gospodarują, jak te gospodarstwa są urządzone, że tych Ślązaków tak wszyscy chwalą.

Nim wejdziemy na tę śląską ziemię, nim zaglądniemy do chaty Ślązaka, przypatrzmy się pierwej, jak wygląda chata włościanina w takiej wsi, do której cywilizacya jeszcze nie doszła. Więc przedstawmy sobie tę chatę drewnianą, często z jednej strony zapadłą i podpartą drągiem, z oknami zalepionemi na zawsze, których otwierać nie można, o izbach dusznych, razem z kuchnią i sypialnią, o składach pod łóżkami różnych starych cholew, szmat i ogromną ilość śmiecia, o komorach w których jest i mąka i jarzyny i mleko, a w kącie brudna bielizna leży, a wszędzie pełno śmiecia i zaduchu. W oborze też nie lepiej, krowa po kolana stoi w nawozie, cała w nim powalana, pozasychane plastry nawozu jak drugą skórę tworzą na biednem bydlęciu. A w chlewach, w kurnikach też nie lepiej, wszędzie pełno śmiecia i brudu.

Teraz zaglądnijmy do chaty Ślązaka. Zdaleka już poznać wieś śląską, bo domki przeważnie murowane i kryte dachówką, a choć zdarzy się i dom drewniany, to ładnie otynkowany i biały, że się niewiele różni od murowanego. Ogrodzenie koło domu porządne, przed domem ścieżka wyłożona kamieniami, która prowadzi do obory. wszędzie czyściutko wymiecione, tak jak u nas robi się tylko na wielkie święta. W sieni posadzka z cegieł ułożona, w pierwszej izbie podłoga czysto wymyta, chodnik samodziałowy leży na podłodze. Dwa łóżka czysto i wysoko zasłane, dalej skrzynia na przyodziewę, stolik a na nim stawiony ołtarzyk domowy, ubrany kwiatkami świeżymi i robionymi i parę stołków do siedzenia. A na ścianach w około pełno obrazów. Po drugiej stronie jest kuchnia, w niej także ceglana posadzka, duży stół nakryty białem płótnem, na stole lampa, wokoło zydle do siedzenia. Dalej szafa za szkłem, przez które widać talerze i inne naczynia. Zegar na ścianie, koło pieca porozwieszane czyściutkie naczynia kuchenne, garczki i miski poustawiane na półkach.

W spiżarni, czyli jak u nas mówią w komorze, zapasy żywności porządnie poukładane, szynki i kiełbasy zwieszają się z pułapu, sadło jak bochen chleba ogromne, na ścianach wiszą wiązki grzybów suszonych, sery w woreczkach siatkowych. Mleko w czyściutkich naczyniach poustawiane na pułce.

W oborze krowy stoją na suchej podłodze zasłanej słomą, brzegiem mały rynsztoczek, którym spływa gnojówka do nawozu, na który przed każdą oborą jest dół wycębrowany, ażeby i płynne części nawozu się nie marnowały i razem mieszały się z słomą i innemi odpadkami, które się do nawozu wrzuca.

W ogrodzie drzewa owocowe rzadko w rzędy sadzone, a pomiędzy nimi grządki z jarzynami. Koło płotu maliny, agrest i porzeczki, a wszystko starannie okopane i obrobione, dlatego też i dobry plon przynoszą. W ogóle gospodarstwa tak są urządzone, że zawsze jest coś do sprzedania i gospodyni idąc raz w tydzień na targ do miasta, nie idzie nigdy z próżnemi rękoma. Oprócz mleka i masła, które każdym razem niesie, ma na wiosnę rzodkiewkę i sałatę, później marchew, pietruszkę, cebulę i kalarepę, potem następują porzeczki, maliny, agrest i kurczęta, dalej następują jarzyny groszkowe, owoce wcześniejsze i tak zawsze coś jest do zbycia aż do jesieni. W zimie to już gospodarz po trochu zboża sprzedaje, a gospodyni ma zawsze jakąś gąskę czy kaczkę utuczone, czasem prosiaka karmnego, a masła, sery i jaja, to już zawsze stanowią ładny dochód.

I tak co tydzień jest świeży grosz w domu, ale Ślązacy, którzy umieją pracować na niego, umieją go też i użyt-

kować n. p. dzieci dokąd małe, chodzą do szkoły miejscowej, to nic nie kosztuje, ale rodzice dbają o to, żeby te dzieci były zawsze dostatnio odziane i obute, żeby się nie zaziębiły, bo to podkopuje zdrowie czasem na całe życie, żeby miały ciepłą strawę i zawsze w porę, żeby o suchym kawałku chleba rano nie wychodziły z domu, szczególniej w zimie, żeby to śniadanie było wcześnie im podane, iżby potem nie musiały biegiem zdążać do szkoły, bo to wszystko u dziecka niby nic nie znaczy, a z czasem odzywa się i smutne sprowadza następstwa.

Dzieci starsze, które już skończą wiejską szkółkę, oddają do miasta do szkoły gospodarskiej, i tak, chłopcy uczą się gospodarstwa rolnego, a przytem każdy jakiegoś rzemiosła, do czego ma więcej ochoty. Dziewczęta uczą się szyć, prać, prasować, gotować, sery urządzać, masło przerabiać, kury chodować i tkać płótno. Otóż takie dzieci powróciwszy ze szkół, odrobią to w dwójnasób co rodzice na nie wydali. Tyle mamy nauki od Ślązaczek.

A u nas jak się dzieje? W wioskach naszych nawet dość zamożnych gospodarzy dzieci, do późnej jesieni chodzą boso do szkoły i całkiem lekko odziane, stąd też nie jedno i całą zimę kaszle, ale rodzice nic sobie z tego nie robią, mówią, że przyjdzie lato to się wygrzeje na słońcu, a gdy dziecko wątłe, to mówią „małe to hyrla, jak podrośnie to się zakrzepi“. I tak przez niedbalstwo rodziców niejedno dziecko albo przedwcześnie umiera, albo nosi w sobie zaród choroby, która mu nigdy należycie nie da się rozwinąć fizycznie, by stać się silnym i zdrowym, jak każdy mieszkaniec wsi być powinien. Czystość, umiarkowane życie, zdrowe pokarmy i świeże powietrze, to są warunki, w których każdy człowiek żyć powinien. Gdy który z chłopców okazuje większe zdolności i chęć do nauk, więc rodzice po wielkim namyśle decydują się dać go do szkoły w mieście, ale zawsze z tą nadzieją, że będzie księdzem i kiedyś dopomoże rodzicom.

Jak skąpo rodzice udzielają mu pomocy, jak to biedne dziecko walczy z niedostatkiem i często w jakimś kącie wilgotnym mieszka, to rodziców, nawet czasem dość zamożnych, nic nie obchodzi.

Byłoby pożądanem, żeby i z innych okolic gosposie zbierały się po kilka i urządzały takie wycieczki na Śląsk, niech nie żałują tych kilkunastu koron któreby wydały na drogę, bo te wróciłyby się im z powrotem, jakby się tam nauczyły nie jednego, bo przez nieumiejętność, nieraz więcej trzeba stracić.

Bardzoby też wiele mogli korzystać ci, których tysiące co roku idzie do Prus na robotę, bo nie tylko na Śląsku ale w całych Niemczech gospodarstwa są tak wzorowo prowadzone. Ale niestety, złe nawyczki naszych ludzi nie dadzą się tak prędko wykorzenić, czego miałam sposobność przekonać się naocznie.

Z końcem miesiąca sierpnia wracając do domu z dalszej podróży, na jednej ze stacyj kolejowych w Niemczech musiałam się dłużej zatrzymać, czekając na pociąg. Przechodząc się po peronie, usłyszałam polską mowę i zobaczyłam gromadkę naszych włościan, powracających już do domu. Ucieszona, zbliżam się do nich, chcąc zapytać skąd są, gdzie byli i t. d. ale widok ich odstraszył mnie. Kobiet młodszych i starszych było kilka, a wszystkie miały tak brudną odzież na sobie, jakby od roku nie praną, na głowach jakieś szmaty przebrudne, wypłowiałe, z pod których wydobywały się rozczochrane włosy, jakby od miesiąca nieczesane, ręce

i twarz Bóg wie odkąd nie myte, w dodatku parę kobiet starszych było tak pijanych, iż ledwo mogły utrzymać się na nogach. Odwróciłam się spiesznie i odeszłam, żeby Niemcy nie dowiedzieli się, że i ja do tej samej narodowości należę, na których z całą pogardą spoglądali i dziwić się im nie mogłam, bo tam najuboższy człowiek przy najcięższej pracy, zawsze jest czysto ubrany.

Smutne to jest, że o naszych rodaczkach pisać to muszę, ale gosposie nasze wiejskie niechcą tego zrozumieć, że czystość i ład we wszystkiem, są podstawą dobrobytu i zdrowia.

Jeżeli bydlęciu damy suchą stajenkę i czyste posłanie, to i ono będzie weselsze i da więcej mleka, sama dobroć paszy, jak wiem iż każda gosposia o nią troskliwie się stara, na to nie wystarczy, bydle chce także mieć czystość i świeże powietrze.

Jeżeli ziemię dobrze obrobimy, więc i ta ziemia lepszy nam plon wyda. Tak samo i człowiek. Jeżeli jest od dziecka w czystości chowany i choć skromnie ale prawidłowo odżywiany, rozwijać się będzie zdrowo i należycie, przyczem i myśl będzie swobodna i chęć do pracy większa i umysł bystry i wszystkie posłyszane nauki nie pójdą na marne, ale w czyn je wprowadzać będzie, a przeto i dobrobyt ludu i jego oświata o wiele się podniesie, a czasby był już na to wielki, żebyśmy dorównać mogli innym narodom i nie byli przez nich wyszydzani. *W Ciechomska.*

Zabezpieczajmy życie i mienie!

Jesień. Żniwa skończone, plon zdobyty ciężką pracą całoroczną rolnika zwieziono do stodół, pod strzechę słomianą. Właściciel z uczuciem ulgi myśli, że mu starczy może na opłacenie podatków rządowych i gminnych, na wydatki domowe i t. p.

Ale mrowie przechodzi na myśl samą, że całą zamożność kmiecia, owoc wieloletnich jego zabiegów, nieraz życia całego, przykrywa dach słomiany, który od lada iskierki może się zapalić i cały ten dobytek pochłoną wtedy płomienie! Pożar — to wszak największy złodziej, niszczyciel straszny, bo zabiera wszystko, nie pozostawiając nawet kątów pustych! A wtedy bieda naprawdę zagląda w oczy rolnikowi. Ginie żywina, która na wiosnę ma obrabiać pole, ginie słoma i siano, a więc nie będzie nawozu na zasilenie roli, która musi rodzić ziarno dobre, by opłacić gospodarzowi pracę. Kilka lat przejdzie, nim się zatrą nieszczęsne skutki pożaru. Nie mówię już o pierwszej trosce gospodarza — o potrzebie odbudowania jak najprędzej osady. Niejeden wskutek pożaru z zamożnego gospodarza staje się nędzarzem.

A jednak od nieszczęścia takiego choć w części uchronić się można. Wszak więksi gospodarze oddawna zapobiegają takim klęskom przez zabezpieczenie się w towarzystwach ubezpieczeniowych; włościanie tylko nie chcą prawie wcale korzystać z takiego udogodnienia, choć w jednem z towarzystw już od roku wypracowano dla nich dobre warunki.

Opłata roczna wynosi tam niewiele. Nie jest ona zawsze jednakowa, zależy bowiem od blizkości wody, od odległości budynków, od tego, czem dachy są kryte.

Towarzystwo każdemu zabezpieczonemu wydaje tablicę z wyobrażeniem św. Floryana, patrona od ognia. Tablica taka przybita do budowli może mieć wielkie znaczenie, bo złemu człowieko-

wi, który przez zemstę chciałby kogoś podpalić, odejdzie ochota, gdy będzie wiedział, że przez to nie uczyni dotkliwej krzywdy, a sam wszak może się dostać do kryminału.

Kto żałuje grosza na zabezpieczenie się od ognia, może stracić setki i tysiące. Nie żałujmy więc pieniędzy, aby zapobiedz niedoli, jaką pożar może sprowadzić. Opatrzność, czuwając nad ludźmi, nakazuje jednocześnie być przezormi i dlatego obdarzyła nas rozumem, którym powinniśmy się w życiu kierować. „Strzeżonego Pan Bóg strzeże", mówi przysłowie polskie. Nie zawsze wynika pożar z nieostrożności lub z podpalenia. Weźmy rok zeszły. Ile zagród włościańskich zgorzało od piorunów! Nie tyle straty mieli pogorzelcy, o których tu wspominam, w samych budowlach, po większej części starych, ile w dobytku, który stanowi owoc długoletniej nieraz pracy.

Nikt chyba temu nie zaprzeczy, że nie należy żałować grosza na zabezpieczenie siebie od nieszczęścia, jakie pożar może na każdego sprowadzić.

Jeżeli przezorny gospodarz zabezpiecza swój dobytek, to czyż życie ludzkie, które dobytek ten wytwarza i przez pracę pomnaża, nie jest droższe nad wszystko? Tak, nie ulega to żadnej wątpliwości! — To też życie ojca rodziny, który daje byt kilku lub nawet kilkunastu osobom, winno być otaczane szczególną troskliwością ze strony członków rodziny. Oszczędzanie zdrowia, dobry pokarm, usuwanie zmartwień, wszystko to dopomaga do podtrzymania życia ludzkiego i nie powinno być przez nikogo zaniedbywane.

Ale prędzej czy później głowy rodziny zabraknie. Gospodarka idąca dotąd składnie, zaczyna się rozluźniać, a następnie się rozpada. Ojcowizna dzieli się w kawałki pomiędzy rodzeństwo, albo się ją sprzedaje, aby podzielić się pieniędzmi, albo wreszcie przechodzi na starszego syna, który dobrowolnie bierze na siebie spłatę rodzeństwa, a przez to samo i ciężar, który nieraz i całe życie go przygniata.

I tutaj nauka, oświata oddają ludziom usługi, bo pozwalają zabezpieczyć życie ludzkie. Nie chodzi o zabezpieczenie się od śmierci, bo od niej nic nas uchronić nie może, ale od tych złych skutków. które następują, gdy umiera głowa rodziny, nie pozostawiając zasobów do prowadzenia gospodarki.

Od takich właśnie złych skutków zabezpieczają ludzi towarzystwa ubezpieczeń na życie. Zapobiegają one nieopatrzności człowieka, gdyż przez odpowiednie wpłaty coroczne można w nich zabezpieczyć sobie na stare lata, lub rodzinie w razie śmierci, pewien zasób pieniędzy, naprzykład pięćset reńskich, tysiąc, albo więcej, które towarzystwo wypłaca w całości rodzinie zaraz po śmierci zabezpieczonego, choćby umarł po złożeniu tylko pierwszej wpłaty, albo też wypłaca je samemu zabezpieczonemu, gdy dożyje lat umówionych, naprzykład po latach 25, czy też 30.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wieści ze świata.

Napad na Siedlce.

Trzy miesiące jeszcze nie minęły od czasu napadu na miasto Białystok, gdzie dokonano strasznego zniszczenia sklepów i mieszkań żydowskich, oraz zabito i poraniono kilkaset niewinnych osób, — a już oto musimy pisać o nowem, jeszcze gorszem spustoszeniu i o nowem straszliwem rozlewie krwi

ludzkiej. Tym razem ofiarą padły Siedlce. Jest to miasto gubernialne na Podlasiu między Warszawą a Brześciem-Litewskim, mające około 20 tysięcy mieszkańców.

Dnia 21 sierpnia ktoś zabił tam buchadłem przejeżdżającego przez targ policmajstra. Wypadek ten zatrwożył wielce ludność żydowską w mieście, gdyż obawiano się zemsty, a wiadomo z doświadczenia innych miast, że w takich razach wszystko skrupia się na żydach. W ciągu następnych dni bardzo wielu żydów wyjechało z Siedlec do miejscowości sąsiednich. W mieście jednak trwał spokój i pogłoski o przygotowywanym jakoby napadzie ucichły, więc po kilku dniach ci, co wyjechali, powrócili i jęli się napowrót każdy swej pracy. Tak minęła para tygodni i siedlczanie zapominać już nawet zaczęli o swych obawach.

Aż tu niespodzianie w sobotę dnia 8 września wieczorem wyległa na miasto zgraja rabusiów i rzuciła się na sklepy i mieszkania. Zaczęło się od strzałów rewolwerowych, które rozległy się naraz w różnych stronach miasta. Władze wojskowe zapewniają, że strzały te, jak również i wszystkie późniejsze przez dwa dni strzały z rewolwerów, były dawane przez przewrotowców do żołnierzy; nie może to jednak być prawdą, co widać już choćby z tego, że przez cały czas strzelaniny tylko jeden żołnierz został raniony, a i to niewiadomo czem i przez kogo. Mieszkańcy miasta mówią, że z rewolwerów strzelali jacyś nastawieni zbrodniarze umyślnie po to, żeby wywoływać strzelaninę wojska. Jakoż zaraz po pierwszych strzałach w sobotę wieczorem rozległy się na ulicach strzały ze strzelb żołnierskich to pojedyncze, to naraz całym szeregiem dawane, a jednocześnie prawie rozpoczęło się straszne pustoszenie sklepów i mieszkań żydowskich. W całem mieście powstał okropny popłoch. Ludzie uciekali z ulic i chronili się do mieszkań; ale i w nich nie było bezpiecznie, bo kule wpadały z ulicy przez okna. Więc niektórzy ukrywali się aż na strych lub do piwnic pod domami. Strzelanina żołnierzy do domów i wzdłuż ulic ustała dopiero od godziny 11-tej w nocy. Przez kilka godzin potem strzałów nie było, ale za to na ulicach Warszawskiej, Pięknej, Alejowej i innych rozlegał się wśród głuchej ciszy brzęg szyb tłuczonych, łoskot drzwi wywalanych do sklepów i mieszkań, wywracanych szaf sklepowych i wyrzucanych na bruk i rozbijanych sprzętów, a od czasu do czasu rozdzierało ciszę nocną jakieś straszne wołanie o pomoc, albo rozpaczliwy krzyk kobiecy lub dziecięcy. Tu i ówdzie sklepy podpalano, więc w mieście wszczęło się kilkanaście pożarów. O godzinie 2-giej w nocy wojsko znowu zaczęło strzelać po całem mieście i strzelanina trwała z przerwami do samego rana.

Nocą na niedzielę kilku znaczniejszych mieszkańców miasta z rabinem zostało wezwanych do pułkownika dowodzącego wojskiem w mieście. Przyszedłszy prosili go, żeby zaprzestano strzelania i pastwienia się nad niewinnymi ludźmi. Otrzymali odpowiedź, że strzelanie będzie trwać dotąd, aż mieszkańcy wydadzą władzy przewrotowców, strzelających do wojska. Zagrożono nawet, że jeśli te strzały z rewolwerów nieustaną, to będą użyte armaty. Nic nie pomogło tłómaczenie, że wydanie strzelających jest rzeczą niemożliwą, bo nikt nie wie, co to za ludzie podjudzają wojsko strzałami z rewolwerów, a w każdym razie nie są to siedlczanie. Wezwani mieszkańcy poszli z niczem do domów.

Strzelanina w mieście trwała całą

niedzielę, noc następną, i w poniedziałek prawie do samego wieczora. Wojsko otoczyło miasto i nikogo nie wypuszczało z niego, ani nie wpuszczało. Przez cały ten czas nikt nie odważał się nawet wyjrzeć na ulicę. Kamienice stały jakby wymarłe. Mieszkańcy ich, o głodzie i bez wody, drżąc o życie, blizko dwie doby przetrwali w kryjówkach. Jak tyko na ulicy strzelanina żołnierzy się przerywała, wnet padał jakiś strzał jakby z rewolweru, a po nim znowu sypały się do którego bądź z domów kule karabinowe. Do wielu też z domów wojsko wchodziło, przeszukiwało mieszkania i zabierało mieszkańców do więzienia. W poniedziałek rano sprawdziła się straszna groźba użycia armat. Ustawiono ich cztery na rogu ulic Pięknej i Alejowej i walono do paru pustych czy też opustoszałych domów, z których padało jakoby najwięcej strzałów do wojska. Strzałami z armat zburzone zostały zupełnie dwie kamienice.

Gazeciarze, którym udało się pod opieką żołnierzy przejść się po mieście w poniedziałek z rana, tak opisują, co widzieli:

„Na ulicy Alejowej pusto; prócz żołnierzy niema ani żywego ducha. W domach okna powybijane. Tynk kamienic poodbijany kulami. Bramy domów pozamykane. Niektóre sklepy zamknięte, inne otwarte, a w tych widać straszne spustoszenie. Półki stoją w nich puste, na ziemi zaś leżą zmieszane z sobą kasza, cukier, mąka i wszelkie inne towary. Przed niektóremi sklepami widać na ulicy wielkie spaleniska; tu zapewne palono towary ze sklepów. Na ścianach domów drewnianych, których tu najwięcej, widać mnótwo śladów kul. Na rogu ulic Alejowej i Pięknej czernieje pogorzelisko; zgorzało tu dwa domy. Czy w płomieniach kto zginął — niewiadomo. Część ulicy Pięknej zawalona sprzętami, pierzynami i różnemi towarami. Buty, ubranie, skóry, potłuczone szkło — wszystko pomieszane razem w kupach. Zniszczenie straszne. Drzwi od niektórych sklepów ledwie wiszą na poodrywanych zawiasach, gdzieindziej wcale drzwi niema. Żołnierze strzelbami rozgrzebują rumowiska“.

Strat poniesionych przez mieszkańców Siedlec niepodobna jeszcze obliczyć. Wiadomo tylko, że miasto jest zrujnowane. Zabitych jest podobno 140 osób, ranionych zaś do 450. W samym tylko szpitalu żydowskim jest około 80 osób ranionych, a między niemi jedna staruszka 80-letnia i starzec 76-letni. Kule ze strzelb padały nawet do szpitala; jedna z nich położyła trupem Jana Borucia, stróża szpitalnego, a druga wpadła przez okno i zraniła 19-letnią Maryę Łazowską, pielęgniarkę chorych. Kule powybijały w szpitalu wiele szyb i poobtłukiwały tynk na murze. Ranieni znajdują się jeszcze i w drugim szpitalu miejskim, oraz w urzędzie policyjnym i w więzieniu, a i po domach jest ich zapewne sporo. Sklepów różnych i sklepików jest zniszczonych podobno do dwustu, zgorzały wszystkie kramy na rynku i dom targowy z 40-tu sklepikami. Ogółem paliło się w kilkunastu miescach.

Okropne to dwudniowe oblężenie miasta, nieustanna stzelanina i spustoszenie skończyły się nareszcie w poniedziałek po południu. Ale nie od razu mieszkańcy zawierzyli spokojowi i z początku ostrożnie wychodzili z kryjówek. We wtorek miasto się nieco ożywiło, wzięto się do uprzątania rumowisk i porządkowania. Niejeden jednakże biedak nie ma do czego iść, bo mu zniszczono całe jego mienie.

O krwawym pogrzebie w Żyrardowie.

W niedzielę dnia 2 września o godzinie 6 po południu wyprowadzałem ze szpitala ciało zabitego przez żołnierzy młodzieńca. Pogrzeb, na którym było kilkaset osób, ruszył poważnie naprzód. Na samym początku spotkał się z oddziałem kozackim, który wprawdzie przez grzeczność usunął się na bok i otworzył drogę, lecz stanął z bronią gotową do strzału. Zrobiło to nieprzyjemne wrażenie, jednakże ludzie przyzwyczajeni w tych czasach do takich prób okazali zadziwiający spokój. Pogrzeb posunął się dalej, a kozacy pozostali w tyle. Zdawało się wszystkim, że nic już nie zakłóci spokoju, którego zapewnieniem dla wszystkich był udział w pogrzebie księdza. I słusznie. Bo gdyby były nawet jakie zapędy przewrotowe w niektórych młodych głowach, to musiałyby być krępowane, gdyż wszyscy wiedzieli dobrze, że ja nie mogłem pozwolić na żadne wybryki. To też pogrzeb szedł poważnie i odbywał się religijnie; śpiewano naprzemian to psalm łaciński „Benediktus“, to pieśń żałobną „Dobry Jezu, a nasz Panie“. Dochodziliśmy szczęśliwie do cmentarza, nie przewidując złowrogiego końca. Nagle kozacy przecisnęli się przez tłum do samej trumny i zaczęli wyrywać z rąk niosącego wieniec z czerwoną wstęgą. Powinno było na tem się skończyć, gdy wstęga dostała się w ręce kozaka jako zdobycz. Wreszcie można było ująć tego, kto niósł wieniec. Nieszczęsna wstęga czerwona sprowadziła jednak, już nie wiem po raz który, krew na naszą ziemię. Ni stąd ni zowąd dały się słyszeć strzały karabinowe. Tłum się rozproszył w różne strony. Kule świstały. Działo się to krótko, a jednak dano kilkadziesiąt strzałów. Chwila była straszna. Garstka nas przybyła na cmentarz i nie wiedziała, co robić. Wśród lęku ogólnego podziw wzbudzał spokój niosących trumnę. Oni jedni go nie stracili i pomału nieśli trumnę do grobu. Przykre wrażenie sprawiało same pochowanie ciała. W oczach wszystkich było widać przestrach, a tu znów kozacy oblegają cmentarz ze strzelbami gotowemi do strzału, jakby mało jeszcze było ofiar. A przecież trzy osoby od strzałów utraciły życie, sześć ciężko ranionych leży dotąd w szpitalu, a kilkanaście osób z lżejszemi ranami leczy się w domu. Straszne to zajście przygnębiło wszystkich. Każdy pytał, dlaczego kozacy strzelali? Wojsko i oficer kozacki, który był podczas strzelaniny, tłómaczą się, że z tłumu był dany strzał rewolwerowy do kozaków. Ale to nieprawda. Gdyby ktoś z uczestników pogrzebu strzelił do wojska, strzał ten wszyscy byśmy słyszeli, tem bardziej, że pogrzeb nie był liczny i ludzie szli ciasno. Jeżeli był strzał, to dano go z innej zupełnie strony, z poza tłumu, a więc był to strzał zupełnie dany po to, żeby pobudzić kozaków do strzelania w tłum. A gdyby naprawdę ktoś z idących za pogrzebem strzelił, to tyle wojska było naokoło, że można było łatwo otoczyć wszystkich i poszukać, kto ma rewolwer.

Straszny czyn obłąkanego.

W mieście Górze-Kalwaryi nad Wisłą, cztery mile od Warszawy, jest przytułek dla bezdomnych starców z Warszawy. Razem z nimi trzymają też gromadkę ludzi obłąkanych nie mających żadnej opieki. We czwartek dnia 6 września po południu zdrowi i silniejsi starcy pracowali w ogrodzie, należącym do przytułku. Nagle jeden z pozostałych w mieszkaniu, Bolesław Tabaczyk, obłąkany czyli głupi, wypada do ogrodu z siekierą w ręku, rzuca się na stojąceno najbliżej starca i zabija go na

miejscu, a potem wywijając siekierą nad głową biegnie do innych. Przerażeni ludzie zaczęli biegać po ogrodzie chcąc ukryć się przed szaleńcem, ale ten doganiał ich i zabijał jednego po drugim. Tak położył trupem aż sześciu. Nareszcie nadbiegł stróż, a widząc co się dzieje, chwycił kłodę drzewa i rzucił szaleńcowi pod nogi; gdy zaś ten się przewrócił, wyrwał mu z ręki siekierę, i dopiero wtedy zamknięto go w osobnej izbie.

Z Jasnej-Góry.

We środę 15 sierpnia, w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, było wielkie święto na Jasnej-Górze w Częstochowie. Była to szósta rocznica wielkiego pożaru, który zniszczył dawną wieżę przy kościele i klasztorze ojców Paulinów, tym jednak razem była to rocznica nie smutna ale radosna. Bo na miejscu spalonej wieży strzela już w górę, ku niebu, nowa, odbudowana w ciągu tych kilku lat kosztem ofiar, które wnet po pożarze licznie się posypały z całego kraju. We środę poświęcano właśnie nową wieżę. Zjazd na tę uroczystość był ogromny. Przybył ksiądz arcybiskup Popiel i biskup Ruszkiewicz z Warszawy, biskup Zdzitowiecki z Włocławka, w którego dyecezyi leży Jasna-Góra i Częstochowa, i wielu innych dostojników Kościoła. Ludu zebrały się tłumy wielkie, ze wszystkich stron szły i jechały na ten dzień na Jasną-Górę kompanie. Obliczają, że na poświęceniu wieży było do pół miliona ludzi. Mimo to uroczystość odbyła się w spokoju i nic nie zamąciło jej powagi.

Dział gospodarczy.

Nawóz pod ogórki.

Proszę o wyjaśnienie, czy nawóz sztuczny jest dobry pod ogórki? Który najlepiej skutkować może i w jakiej ilości go używać? I czy można, gdy się ogórki przyjmą, sypać nawóz na wierzch ziemi przy samym ogórku?

Bardzo dobrym nawozem pod ogórki jest próchnica drzewna, naprzykład wiórzysko. Ze sztucznych zaś doskonała jest mieszanina obmyślona i wypróbowana przez uczonego ogrodnika Edmunda Jankowskiego, do której wchodzi kainit i inne nawozy w odpowiednim stosunku. Pojedynczo żadnego z nawozów sztucznych nie zalecamy, bo działanie ich nie jest dostatecznie wypróbowane, a zatem jest niepewne. Wspomniana mieszanina sprzedaje się w Warszawie w sklepie „Ogrodnika Polskiego“, ale zapewne każde najbliższe towarzystwo rolnicze, lub skład nasion sprowadzi ją wraz z objaśnieniem, które do niej dodają.

Udogodnienie przy dojeniu krów.

Każdy, kto ma choćby najmniejsze gospodarstwo rolne, wie z doświadczenia, jaki to kłopot mają dójki z ogonami krów, szczególniej w lecie, kiedy krowom dokuczają muchy, i jakie nieraz straty bywają wskutek wywrócenia skopka, albo przez zanieczyszczenie mleka brudnym, mokrym, lub uwalanym ogonem, co szczególniej zdarza się, jeśli krowa chodzi po mokrem pastwisku lub koniczynie. Otóż chcę zapoznać czytelników z bardzo prostym i tanim przyrządem służącym do unieruchomienia ogona podczas dojenia.

Przyrząd ten robi się z arkusza zwykłej białej blachy w sposób następujący: wykrawa się pas 15 cali długi, a 5 szeroki. Kąty jego należy zaokrąglić, śro-

dek nieco zwęzić (wykroić) i wygiąć w ten sposób, aby utworzył otwór w kształcie półrurki, jako miejsce na ogon. Odchylając końce blachy, utworzymy boki przyrządu szczelnie przylegające do nogi krowy, bez względu na grubość tejże nogi, oraz na rasę bydlęcia.

Aby nie poranić nóg krowy, należy stronę wewnętrzną i brzegi przyrządu podłożyć skórą. Do boków przyrządu przymocowuje się rzemień z klamrą, albo łańcuch z zasówką do zamykania blaszki.

Po wydojeniu krowy należy, rozumie się, blachę zdjąć i schować, żeby krowa zbyt długo w niej nie pozostawała.

Jest to bardzo prosty i lekki przyrząd, który może być łatwo sporządzony w każdem gospodarstwie. Zakłada się na nogę ponad kolanem zadniej nogi.

Tuczenie i zabijanie drobiu na sprzedaż do miast.

Drób, przeznaczony do tuczenia musi zawczasu być karmiony i pielęgnowany odpowiednio, ponieważ ma to wielki wpływ na rozrost kości i rowijanie się wola i organów trawienia, które trzeba doprowadzić do tego, żeby mogły przyswajać jak największe ilości pokarmu, do takiego zaś rozwoju konieczne jest dobre i obfite pożywienie.

Niektóre rasy rosną i dojrzewają bardzo wcześnie i trzy lub czteromiesięczne kurczęta można już tuczyć na sprzedaż, przy czem nie należy wcale czekać, żeby one przestały rosnąć — bo kurki, które się już nieść zaczęły i równe im wiekiem koguciki, nigdy nie będą miały tak delikatnego mięsa jak sztuki młodsze. Kurczęta wychowane w zimie, albo zaniedbane i źle karmione z początku, stają się trochę później zdatne do tuczenia, pomimo to praktyczni hodowcy powinni starać się o to, by mieć kurczęta w zimie, bo chociaż przy tej hodowli ponosi się niejedną stratę i kurczęta rozwijają się powolnie jednak zyskuje się dużo na tem, że sztuki tuczone są gotowe na sprzedaż w takiej porze roku, kiedy ich nigdzie prawie dostać nie można. Chociaż w tej porze roku sporo będzie jaj niezalężonych, zawsze jednak na kurczętach wychodowanych w zimie zarabia się znacznie więcej niż na letnich, nawet jeżeli to są nieuszlachetnione wiejskie gatunki.

W czasie okresu tuczenia, kurczęta muszą dostawać pożywienie wpływające na tworzenie się tłuszczu i to w możliwie jak największej ilości, używając jednocześnie jak najmniej ruchu. Należy unikać zbyt widnego dla nich pomieszczenia — dobre są szyby fioletowe, ponieważ ten kolor korzystnie wpływa na przyrost tłuszczu, nie powinny tylko przechodzić w barwę czerwonawą, lecz raczej w niebieską, gdyż kolor czerwony usposabia drób wojowniczo, a znowu zielony działa uspokajająco.

Są różne sposoby tuczenia kurcząt. Tak zwane swobodne tuczenie zależy na tem, że kurczęta trzyma się w ciasnej przestrzeni lub co lepiej w klatkach. Liczy się zwykle na metr kwadratowy dziesięcioro lub dwanaścioro kurcząt. Należy je utrzymywać bardzo czysto, bo są one bardzo skłonne do chorób — strzedz od chłodu i przeciągów i starać się o czyste i zdrowe powietrze w kurniku. Jako pożywienie kurczęta dostają półpłynną papkę z jęczmiennej mąki którą przez cały dzień muszą mieć w korytkach, żeby w każdej chwili jeść mogły, ale parę razy na dzień należy korytka starannie czyścić i przyrządzić świeżą żywność — zawsze też powinny mieć świeżą wodę do picia.

Papka z jęczmiennej mąki przyrządzona nie z wodą, ale z odtłuszczonem

lub rozcieńczonem mlekiem, nadaje mięsu smak bardzo delikatny i biały odcień, a tem samem podnosi cenę kurcząt.

Wszystkie korytka z jedzeniem i wodą stawia się w taki sposób, żeby kurczęta nie mogły ich zanieczyszczać. Najpraktyczniej umieszczać ich na zewnątrz klatek, tak żeby mogły dziobać pożywienie przez szczeble. Wszystkie sztuki zamknięte razem muszą być jednocześnie karmione.

Niektórzy hodowcy karmią tuczący się drób obficie trzy razy na dzień. Nie warto tuczyć dłużej jak przez trzy tygodnie, bo potem nie zyskują należycie na wadze, to też ogólnie przyjętym okresem tuczenia jest przeciąg czasu dwu lub trzytygodniowy.

Mając odmiany wcześniej rozwijających się kurcząt, używa się zwykle do tuczenia trzy i czteromiesięczne, jednak można czasem tuczyć półtora i dwumiesięczne, jeżeli są zdrowe, silne i można liczyć na dobry wynik. Słabsze sztuki trzeba karmić bardzo ostrożnie, a najlepiej zamknąć w kurniku na jakiś tydzień, obficie żywić i odrazu sprzedać. W ciągu pierwszego tygodnia należy kilkakrotnie sprawdzać, czy kurczęta nie chudną albo nie trzymają się w mierze bez zyskiwania na wadze; takie sztuki trzeba zaraz sprzedawać lub użyć na kuchnię. Żółtonóżki mniej się nadają do tuczenia niż sztuki z nóżkami szaremi lub różowemi, gdyż nie mają tak delikatnego mięsa i nie stanowią tak wytwornego towaru.

Niektórzy hodowcy nie przywiązują dostatecznej wagi do odpowiedniego przyrządzenia bitego drobiu i z tego powodu sztuki najlepiej nawet utuczone nie osięgają nieraz tak wysokiej ceny, jak inne mniej nawet dobre, ale przedstawiające się elegancko i efektownie; tymczasem sposób bicia i przyrządzenia, jest kwestyą równie ważną jak tuczenie. We Francyi pracujący w tym zakresie osiągnęli już taką wprawę, że w przeciągu godziny jeden kucharz zabija i skubie trzydzieści do czterdziestu sztuk.

Zanim się przystąpi do zarznięcia kurcząt, muszą one około 20 godzin nic zupełnie nie jeść — daje się im tylko do picia trochę mleka, dla oczyszczenia żołądka i wnętrzności, octu niejednokrotnie używanego dawać nie należy, bo źle wpływa na smak mięsa. Nie można zabijać kurcząt, kiedy są czem rozdrażnione, bo wtedy krew nie odpływa prawidłowo i mięso przybiera barwę ciemną. Przy zabijaniu należy nogi kurczęcia przytrzymać silnie, żeby się nie ruszyło, następnie lewą ręką roztworzyć dziób, a prawą przeciąć żyły w głębi gardła, poczem spuścić głowę kuraka na dół; śmierć jest natychmiastowa i jak tylko krew przestanie się sączyć, trzeba natychmiast skubać.

Drugi nieco wygodniejszy a szybki sposób zabijania polega na zrobieniu nożem głębokiego zacięcia w końcach uszu, pomiędzy dwoma kosteczkami, które bardzo łatwo wyczuć pod palcem.

Skubać trzeba, póki drób jest jeszcze ciepły, unika się wtedy rozdzierania skóry, czego trzeba się bardzo wystrzegać bo to ogromnie szpeci — a w razie rozdarcia skóry powinno się ją starannie zaszyć. Przy paproszeniu trzeba uważać, żeby wnętrzności wyciągnąć w całości, potem trzeba puste miejsca wypakować papierem, żeby kurcze nie straciło formy; najlepiej brać do tego czysty papier, niezadrukowany.

Zanim drób ostygnie trzeba mu nadać odpowiednią formę, stosownie do miejscowego zwyczaju; następnie obwija się każdą sztukę w płótno, kładzie się jeden rząd lub kilka, przykrywa deską i przyciska kamieniem. Trzeba

każdą sztukę tak opierać o ścianę, żeby ogon był podniesiony w górę.

Mięso nabiera pięknego białego koloru przez obwijanie w płótno zmoczone w mleku odtłuszczonem lub rozcieńczonem wodą.

Wysyłać i opakowywać drób można dopiero wtedy, kiedy już całkowicie ostygnie.

Kończąc te krótkie wskazówki muszę jeszcze dodać, że drób przysyłany żywcem traci bardzo na wadze, korzystniejszą więc jest sprzedaż drobiu bitego.

ROZMAITOŚCI.

Uroczystość odsłonięcia pomnika Tadeusza Kościuszki. W niedzielę 16. września odbyła się w Samborze wspaniała uroczystość narodowa, odsłonięcie pomnika Tadeusza Kościuszki. O! doprawdy serce rozpływa się z radości, kiedy się patrzy na ten lud zgromadzony u stóp pomnika Naczelnika narodu.

Kiedy nie tylko po całej naszej ziemi polskiej, ale i w dalekich krajach zamorskich oddają cześć temu wielkiemu wojownikowi za wolność i ojczyznę.

Otóż i Polacy we wschodniej Galicyi nie chcą zostać w tyle za innym narodem, ale pragną także oddać cześć Naczelnikowi bohaterowi!

Dzięki sprzyjającej pogodzie, uroczystość odbyła się z całą okazałością. Zaraz po uroczystej sumie w parafialnym kościele, wyruszył pochód na rynek miasta. Młodzież ze szkół męskich i żeńskich, sokoli ze sztandarem na czele, straż pożarna, oraz przedstawiciele wszystkich warstw narodu.

Osobliwszy podziw w ludności sprawili kosynierzy z poblizkich wsi. W białych sukmanach, czerwonych rogatywkach na głowie, przy błysku kos, sprawiali bardzo miłe wrażenie.

Przy odgłosie muzyki przybyli wszyscy przed gmach Sokoła na plac odsłonięcia. Kiedy pierwszy mowca zaczął wygłaszać w pięknej mowie, czem się wsławił Tadeusz Kościuszko, opadła zasłona i wszystkich głowy odkryły się z uszanowaniem, albowiem oczom widzów ukazał się wspaniały posąg Kościuszki i muzyka zagrała pieśń „Patrz Kościuszko na nas z nieba“.

Po skończonych pięciu przemówieniach znowu muzyka zagrała i z tysiąca piersi wydarł się śpiew „Bartoszu, Bartoszu“ i „Kościuszko nauczył pod Racławicami“.

Podczas pieśni dziatwa szkolna obrzuciła pomnik kwiatami, gdzie u stóp jego złożono wieńce. Pomnik ten jest dziełem artysty Błotnickiego.

O 5-tej godzinie wieczór odbyło się w gmachu Sokoła przedstawienie Bitwy Racławieckiej.

Pamięć tej uroczystości na długo utkwi w sercach narodu polskiego.

Zofia Lerch.

Ostrzeżenie dla emigrantów. Namiestnictwo wydało ostrzeżenie przeciw „Zino“, tow. żeglugi przewozowemu, które podając jako swego pełnomocnika niejakiego A. Gergolsta w Chiasso w Szwajcaryi — celem pozyskania jak największej liczby podróżnych rozsyła prospekty z przedstawieniem stosunków w San Paolo w Brazylii jako bardzo korzystne dla emigrantów. Ponieważ takie przedstawienie stosunków nie odpowiada rzeczywistemu stanowi rzeczy na miejscu, przeto namiestnictwo ostrzega ludność, aby przez owe prospekty nie dała się namówić do tej emigracyi.

Czyż to prawda? Z Zawichostu, miasta nad rzeką Wisłą, w Sandomierskiem, piszą do jednej z gazet żydowskich:

„W niedzielę 2. września przybyło do miasta około stu włościan uzbrojonych, którzy mówili, iż muszą zemścić się za to, że jakiś złodziej jednemu z nich ukradł konie. Włościanie zaczęli bić przechodniów żydów na ulicach i tłuc szyby w mieszkaniach; poranili sześciu żydów. Aż rabin musiał starać się, żeby przysłano wojsko, które dopiero rozpędziło włościan, a 20-tu z nich uwięziło“.

Chyba wiadomość ta nie jest prawdziwą, bo przecież bez rozumu byliby ci ludzie, którzyby się mścili na wszystkich mieszkańcach miasta za złodziejstwo przez jednego lub kilku spełnione.

Ludożerca. W wielu opisach Syberyi czytaliśmy o wypadkach ludożerstwa, jakiego dopuszczają się niejednokrotnie rozmaici włóczędzy, przeważnie zbiegli z robót ciężkich. Niedawno zaszło zdarzenie potwierdzające opowiadanie o ludożerstwie. We wsi Inie, piszą gazety syber., leżącej o cztery wiorsty od miasta Nowo-Nikołajewska, w południe 21 sierpnia, nieznajomy 50-letni mężczyzna napadł na dwoje dzieci 5- i 6-letnie, bawiące się przed domem. Napastnik powalił dzieci na ziemię i począł je szarpać zębami. Dziewczynkę zagryzł na śmierć, chłopcu począł objadać policzki. Na szczęście spostrzegł zbrodnię sąsiad, i odebrał ofiarę człowiekowi-zwierzęciu, pomimo że włóczęga bronił się zawzięcie zębami. Przy pomocy sąsiadów, zwabionych hałasem, udało się zbrodniarza związać i oddać w ręce władzy. Prowadzony do Nowo-Nikołajewska, nieznajomy milczał uporczywie; raz się tylko odezwał, „że najsmaczniejsze są dzieci z kołysek“, że takie, jak te, które mu odebrano, nie są już takie smaczne. Słowa te dowodzą, że zbrodniarz nie pierwszy to już raz napadał na dzieci.

Spólna fabryka. Czterdziestu robotników, którzy pracowali w jednej z fabryk szkła pod Warszawą, mając trochę zaoszczędzonych pieniędzy, postanowiło założyć i prowadzić wspólnemi siłami własną fabrykę szkła. Po spisaniu umowy u rejenta spólnicy złożyli wszyscy razem 12 tysięcy rubli, co wypada po 300 rubli na każdego, a prócz tego kilku, mających więcej zaoszczędzonych pieniędzy, dopożyczyło spółce jeszcze 2 tysiące rubli, więc na początek zebrano 14 tysięcy rubli. Budowę fabryki już rozpoczęto; stanie ona w miasteczku Wyszkowie nad Bugiem. Fabryka będzie wspólną własnością owych 40-tu robotników, którzy też sami mają w niej pracować. Zyskami będą się dzielili stosownie do tego, ile każdy dał pieniędzy; tak samo będą dzielić między siebie straty, gdyby fabryce się nie wiodło. Spółką i fabryką mają rządzić trzej majstrowie hutniczy, wybrani przez wszystkich wspólników.

Walka czarownic. Zabawne zdarzenie, wynikłe z ciemnoty i głupiego zabobonu, podaje niejaki *A. S.* z pod Makowa w Galicyi:

W tych dniach w okolicy Makowa szedł jakiś chłop przez wieś i poprosił jednej gospodyni, żeby mu dała napić się mleka. Kobieta mówi, że krowy mało mleka dają, że się mleko psuje, że może jaka czarownica urzekła krowy.

— Aha! czarownica! — krzyknie chłop: — ja się dobrze znam na tem. Pokażcie-no, matko, mleko, tylko sporą miarę, zaraz wam dam sposób, jak możecie tę czarownicę poznać, jeżeli się będziecie znać na rzeczy, bo to nie mała sprawa.

Kobieta skwapliwie przyniosła kwartę mleka. Chłop mleko wypił pomału, smakując, potem resztkę wylał na dłoń, roztarł, powąchał, pomruczał coś, a dostaw-

szy jaj, sera i parę złotych, tak kobiecie rzecze:

— Czarownica jest stąd niedaleko. Musicie wstać dziś o północy, ale, żeby nikt o tem nie wiedział. A musicie być, jak was Pan Bóg stworzył, rozumiecie? całkiem goła. Weźcie z sobą dobry kij. Idźcie tak pomiędzy chałupy i patrzcie, w którym oknie się świeci, bo ta czarownica, która wam krowy urzekła, będzie wtedy z pewnością w swojej chałupie, tak samo, jak wy, masło robić. Po tem ją poznacie. Zapukajcie w okno, a ona do was wybiegnie. Wtenczas ją dobrze kijem poczęstujcie, a będziecie mieli spokój.

Nagadawszy tak, złośliwe chłopisko poszło do drugiej chałupy we wsi; tam nauczył drugą taką samą głupią gosponię, która mu się także na czarownice użalała, aby o północy przy świetle robiła masło, ale nago, to wtedy czarownica, czy chce czy nie chce, będzie musiała przyjść do okna i zapukać. Wtenczas niech wybiegnie z kijem i dobrze ją wykropi.

Łatwo się domyśleć, z jaką wściekłością te kobiety natarły na siebie o północy, gdy jedna masło robiła, a druga właśnie zapukała w okno.

— Tuś bestyo!

— Mam cię, psiakrew!

I łupu cupu, łeb nie łeb, wreszcie chwyciły się rękami i dalejże drapać paznogciami i kąsać jedna drugą zębami, aż się zwaliły pod płot. A jedna o drugiej myślała, że to czarownica.

Na straszny wrzask pobudzili się chłopi. Wybiegają z kijami, a tu się pod płotem tylko gołe nogi migają. Już jeden miał przyodziać kijem tego, co na wierzchu, ale zmiarkował, że to kobieta I ledwie je rozerwali z kupy.

Będzie z tego sąd o dosyć ciężkie uszkodzenie ciała, bo sobie kobiety piersi pokąsały, a jedna jest karmiąca.

Katastrofy żywiołowe w Ameryce. Nadchodzą wiadomości, że w południowych stanach Ameryki północnej, mianowicie w Luizyanii, Mississipi, Georgii i Alabamie, urwania chmur i powodzie zrządzają ogromne szkody, przybierając wyjątkowo wielkie rozmiary. W ostatnich dniach katastrofy tego rodzaju dotknęły miasta Nowy Orlean i Mobile. Wedle wiadomości z Nowego Jorku, uzupełniających dawniejsze telegramy, w Nowym Orleanie skutkiem nagłych i ulewnych deszczów nastąpiła powódź. Na niektórych ulicach woda dosięgła czterech stóp nad poziomem gruntu. W miastach Vailsburg w stanie Mississipi, tudzież w Macon w stanie Georgia, również powódź zrządziła ogromne szkody. Ostatnią katastrofą jest powódź w mieście Mobile, o której doniosły telegramy. Szalona burza z ulewnym deszczem zrządziła w mieście tem i w południowych okolicach Alabamy olbrzymie szkody. Orkan szalał przez 46 godzin, niszcząc wszystko w swoim pochodzie. W Mobile zginęło 75 osób, a 5000 domów uległo uszkodzeniu .Dzielnica handlowa została zupełnie zniszczoną. Woda, płynąca ulicami strumieniem na 5 stóp głębokim, unosiła zapasy bawełny, inne towary i sprzęty. Już teraz oceniają szkodę na 5 milionów dolarów. W południowej Alabamie został zniszczony cały sprzęt bawełny, cukru i jarzyn. Miasto Mobile, stolica i jedyny port stanu Alabama, liczy około 40.000 mieszkańców i posiada bardzo ożywiony handel. Obroty bawełną spadły wprawdzie znacznie, ale za to podniósł się nadzwyczajnie handel drzewem. W stanie Floryda miasto Pensacola, posiadające również dosyć rozwinięty handel, zostało prawie zupełnie zniszczone. Jak donoszą, 2000 ludzi znalazło się bez dachu. Stacya kwarantannowa została zniszczoną, szpital zalany, a fort Perkias silnie

uszkodzony. Wiele okrętów wojennych doznało uszkodzeń; 19 zagranicznych okrętów i liczne mniejsze parowce osiadły na mieliźnie, zaś 25 osób utonęło.

Z miasta Nju Brytanu w Ameryce północnej. Chcę dla pożytku rodaków opisać w gazecie, jaką miałem podróż do Ameryki i jaki tu jest los naszych wychodźców.

Otoż co do podróży, to niech Pan Bóg od podobnej każdego zachowa. Ileśmy najpierw ucierpieli biedy, gdyśmy dostali się do Prus! Przed wyruszeniem w tę podróż zgodziliśmy żyda, który miał nas dziewięciu dostawić do Ameryki. Umówiliśmy się po 110 rubli. Miał nam za to dać „szyfkarty“ czyli bilety do różnych miast nadmorskich w Ameryce, stosownie do tego, dokąd kto chciał jechać. Tymczasem dowiózł nas tylko do Prus do Iłowa i tam zostawił. Całe szczęście, że ja się uparłem i nie daliśmy mu z góry pieniędzy.

W Iłowie wzięli nas do kąpieli, a odzież naszą włożyli do gorącego pieca i tak wyparzyli, że buty trzeba było nowe kupić, a niektórzy musieli kupić i odzież, bo im się spaliła. Tam musieliśmy opłacić „szyfkarty“, po 116 rubli za jedną, i to tylko do Nowego Jorku, a kto chciał dalej płynąć okrętem, czy jechać koleją, to musiał za swoje pieniądze. A dużo było takich, co już w Nowym Jorku nie miało ani rubla, bo w Bremie, gdzieśmy byli tydzień, musieli zapłacić po 7 rubli za mieszkanie i żywność. Kto nie miał czem zapłacić, tego Niemiec wyszturchał, nawymyślał mu i nie dał pościeli: musiał biedak spać na ziemi, jak nie człowiek.

A ileśmy to biedy użyli na morzu! Płynęło nas okrętem 1600. Prawie wszyscy się pochorowali; nawet kto nie był skłonny do mdłości, to musiał wymiotować, bo nie było gdzie nogą stąpić, wszędzie leżeli chorzy, wszędzie dokoła było brudno.

A czego dopiero wypadło użyć w Ameryce! Komu szczęście posłużyło, to Bogu dzięki, ale kto nie dostał roboty, to i gorsza bieda, bo tam nikt darmo nie da jeść, a wszystko jest drogie. A co najsmutniejsza, że ludzie tam gorsi są od zwierząt dzikich. I naszych rodaków wielu tak się przeinaczyło. Ani to człowieka nie uszanuje, ani zagada czysto po polsku, jeno wykręca język tak, że go ani Anglik nie zrozumie, ani Polak.

Praca tu ciężka, a nieraz i niebezpieczna. Iluż tu ginie po fabrykach i w różnych miejscach. Jestem dopiero rok, a ilu już przy mnie zginęło, aż serce się ściska. Tego pas porwał do maszyny, temu urwało nogę, tamtemu rękę pocięło, owemu głowę urznęło. Sam widziałem, jak jedna dziewczyna przechodziła koło fabryki przez koleinę, a tu z za węgła wyjechała kolejka elektryczna. Dziewczyna uciekając zaczepiła nogą o koleinę i upadła, a koła jej głowę oderznęły. Na imię jej było Antonina, a pochodziła ze wsi Grala w powiecie ostrołęckim. Jednemu znów mężczyźnie, także z powiatu ostrołęckiego, maszyna urwała obie ręce, jedną między łokciem a ramieniem, drugą poniżej łokcia. Biedak młody, ma lat 25, żonaty, ale tutaj jest sam, żona z dziećmi pozostała w kraju. Jakiż ich los teraz!?

Smutno tu człowiekowi, aż serce się kraje, gdy patrzymy na rodaków, bo to po większej części jakby szumowiny naszego narodu, ludzie najgorsi. Bo któż od nas do Ameryki jedzie? Prawda, wielu takich, których niedostatek, potrzeba z kraju wygania: ale więcej jeszcze takich, którzy zeszli na złą drogę, dopuścili się jakichś przestępstw, i chcą się ukryć przed grożącą im karą,

albo przed pogardą ludzką. Iluż tu jest złodziei i podpalaczy!

Przypominamy tu sobie, jak to u nas w kraju, gdy trzeba dać jaką składkę na kościół, to niejeden uważa sobie za krzywdę ofiarować parę złotych, a w Ameryce to za każdy wstęp na nabożeństwo trzeba dać 20 groszy, bo inaczej nie puszczą do kościoła; a prócz tego trzeba płacić po sześć dolarów (czyli prawie 12 rubli) na rok podatku, bo jeżeli kto tego nie płaci, to go ksiądz nie dopuszcza nawet do spowiedzi i nazwisko jego będzie ogłoszone. Chrzest dziecka kosztuje 6 dolarów, ślub 15 dolarów. *T. Tontarski.*

Zadrzewienie wydm. Z Witowa, wsi kościelnej pod Piotrkowem, piszą do nas:

Były tu u nas koło kościoła piaszczyste nieużytki. A świątynia nasza jest ogromna, wspaniała, po zakonnikach Norbertanach. Kiedy wiatr powiał, tumany kurzu zrywały się i pokrywały wszystkie ozdoby domu Bożego. Dopiero gdy przybył do nas gorliwy kapłan, ksiądz J. Langier, zaraz się zakrzątnął, aby razem z nami obsadzić owe piaszczyste wydmy brzezinkami i powstrzymać kurzawę. Ile razy patrzymy teraz na zielony zagajnik, czujemy wdzięczność dla swego proboszcza i zachętę do sadzenia drzewek. Dlatego też piszę o tem do gazety, aby i innych zachęcić do takiej pracy w tym czasie jesiennym. Bo sadzenie drzewek najepsze w jesieni, albo wcześnie na wiosnę.

Ostrożnie ze spasaniem skiełkowanych ziemniaków! Rok zeszły był wyjątkowo urodzajny na kartofle i dlatego były one i są w bardzo nizkiej cenie. Bardzo wielu rolników nie sprzedało znacznych nawet zapasów i ma ich do dziś dnia bardzo wiele. Nie chcąc zaś marnować tylu darów Bożych, stanowiących mnóstwo paszy, pasło niemi i może jeszcze paść w różny sposób konie, bydło i świnie.

Otóż nie od rzeczy będzie, choć już może spóźnione dla niektórych, ostrzeżenie, że pasenie skiełkowanymi ziemniakami jest szkodliwe szczególniej dla bydła, a także i dla świń, jeżeli kiełki nie zostaną obłamane. Dla koni zaś, i tak skłonnych do kolek przy żywieniu surowemi kartoflami, nieostrożne pasienie ziemniakami skiełkowanemi tembardziej jest niebezpieczne. Nie należy ich wcale dawać na surowo, tylko gotowane, parowane, lub pieczone. W Poradniku gospodarskim czytałem o następującej próbie pasenia krów takimi ziemniakami: Z pomiędzy kilku krów stojących razem w jednej oborze, dwie naraz zachorowały. Wystąpiły u nich objawy zimnicy, brak chęci do jadła, wzdęcie i zbyt rzadki kał. Ponieważ krowy, oprócz mocno skiełkowanych ziemniaków, dostawały zresztą bardzo zdrową i pożywną paszę, składającą się z dobrego siana i sieczki, szróty jęczmiennej i mąki ryżowej, na której poprzednio i obecnie utrzymywana inna żywina nie chorowała i nie choruje, przeto najmniejszej nie ulega wątpliwości, że przyczyną choroby mogły być jedynie skiełkowane ziemniaki, szczególniej gdy krowy zaczęły ich dostawać zbyt wiele, bo już blizko 20 funtów na sztukę, surowych, drobno posiekanych i zalanych przed zadaniem świeżą wodą. Jakoż po odjęciu ziemniaków krowy zupełnie wyzdrowiały.

W innym wypadku wezwany weterynarz stwierdził wskutek spasania skiełkowanych ziemniaków daleko cięższe objawy: brak zupełny przeżuwania, jakoby porażenie mięśni szczękowych, pianę w pysku, niechęć do jadła, co też niezawodnie spowodowało, że trzy krowy padły, i to jedna po drugiej w krótkim czasie.

Przypomnienie. Kończy się już lato, jesień nadchodzi, a z nią ostatni kwartał tego roku. Kto więc do końca roku gazety jeszcze nie opłacił, niech już przysyła zamówienie na czas dalszy.

Zaczną się wkrótce długie wieczory, będzie czas najlepszy do czytania i rozmów z domownikami i sąsiadami. Ludzie dobrzy a rozumni nie marnują tych chwil odpoczynku po pracy na ziewanie, na drzemkę bezmyślną, ani na zrzędzenie, co jest tylko jakby mieleniem plew. Ludzie dobrzy i rozumni obracają ten czas na przysporzenie korzyści duchowych i cielesnych, więc częścią na zarobki, a częścią na czytanie. Rozmawiają też z krewniakami, sąsiadami i znajomymi o rzeczach ciekawych a prawdziwych, ważnych i pożytecznych. Nakłaniają i drugich, żeby czasu wolnego i życia nie marnowali, lecz żeby czytali rzeczy dobre i prawdziwe, jeżeli czytać umieją. A nieumiejących zachęcają do nauki czytania. Właśnie w jesieni i zimie będzie na to wszystko pora najlepsza; a teraz czas zamawiać gazetę, książki i elementarze dla takich ludzi, którzy ich nie mają.

WESOŁY KĄCIK.

Oszukany złodziej. Pewien dobrze mający się gospodarz miał to nieszczęście, że go często odwiedzali złodzieje. Jechał on razu pewnego z miasta, gdy spostrzegł jadącego człowieka, który krzyknął: Kto jesteś?

Gospodarz miarkując, że to będzie złodziej, bo tam po nocach nikt inny nie mógł jeździć, gdyż było opodal traktu, rzekł: Jestem nocny kupiec.

— A i ja taki, — odpowie, — toś mój brat, a gdzie jedziesz?

— Oto do gospodarza niedaleko, który ma piękne konie, może się uda sztuka.

— A i ja tam jadę, niech zatem żyje nasza przyjaźń. Tylko, że tam zamki bardzo mocne i psy zażarte.

— Nie bój się — rzecze gospodarz — jak ja zagwizdnę, to psy się nam radować będą, a na zamki też mam dobry sposób.

Gdy przyjechali na podwórze, gospodarz gwizdnął, psy zaczęły się łasić i radować. Złodziej mówi:

— A prawda, coś mi mówił jadąc, to też naucz mnie tego kunsztu.

— Nauczę, nauczę, teraz otwórz zamek do stajni.

Złodziej próbuje, ale ani rusz otworzyć. Na to właściciel:

— Nie tęgi z ciebie złodziej, kiedy nie umiesz zakląć zamków, aby się same otworzyły. Potrzymaj konie niech ja tylko żaklęcie odmówię, to zaraz otworzę.

Zaczął tedy mruczeć niezrozumiałe wyrazy, a wiedząc, gdzie był klucz schowany, poszukał go i drzwi otworzył mówiąc:

— Tak to robią sprawni, nie tak, jak ty, nieuku. Nauczę ja cię potem tego zaklęcia, idź tylko i wyprowadź konia ze stajni.

Ten wpada pełen chciwości, a gospodarz prędko zamknie i krzyknie:

— Maciek, Wojtek, dalejże, gdyż złodziej w stajni.

Ci wypadli zaraz z kijami i latarnią. Złodziej słysząc to, chce uciec, ale nigdzie dziury nie było. Związali tedy nocnego kupca, jak barana i zawieźli do miasta, gdzie po czterech tygodniach odniósł zasłużoną karę.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie.
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Dodatek I. do Nru 9 i 10 „Przodownicy“ z r. 1906.

Jarmark w chacie.

Nie dziwujcie się proszę, gdy słyszycie mowę o jarmarku w chacie. Wy ani wiecie, ani nie domyślacie się nawet iż ja chcę mówić o jarmarku takim, który się odbywa codzień, nie daleko w mieście, ale we wsi — w chacie.

Co za jarmark? pyta Małgorzata, Katarzyna, Józka i inna.

Chyba, że pani na wsi nigdy nie była, chyba, że pani na wsi ludzi nie zna, chyba, że pani z nas sobie żartuje, jeśli o jarmarku opowiada.

Lecz moje lube gosposie i moje piękne gosposie bądźcie cierpliwe. Posłuchajcie, a potem powiedźcie, czy mówię nieprawdę. Są chaty, w których jak rok długi tak bezustannie odbywa się jarmark.

Krzyku, wrzawy, hałasu właśnie tyle co na jarmarku.

Śmiecia, kurzu, błota także tyle co na jarmarku.

A i kur, gęsi i prosiąt i królików chyba także tyle co na jarmarku.

Nie jeden raz, gdy do takiej chaty weszłam, nie wiedziałam co począć z sobą, bo i żal mię przejmował i gniew nademną swoje brzydkie skrzydła rozpinał.

Myslę sobie w tedy: — Trzebaby takiej niedbałej gospodyni, jak niedobremu dziecku, dać jakąś karę i jakąś pokutę, ażeby się przecież zawstydziła i zabrała do gospodarstwa porządnego.

Ale potem żal mię przejmuje i szepcze:

Cóż ona winna, iż nie umie porządku utrzymać, jeśli jej nikt nie nauczył tego, jeśli wyrosła w chacie brudnej, jeśli przywykła do tego, iż zawsze jarmark w domu miała i widziała.

Może być, że i to prawda, może być że i ja, gdybym się była od matki nie nauczyła porządku, byłabym może tak samo nie umiała gospodarzyć i nie miłowałabym porządku więcej nad klejnoty lub bogactwa.

Więc tak podumawszy nie jeden raz, chodziłam potem w tej i owej wsi od chaty do chaty, z tą i ową gosposią rozmawiałam, uczyłam, radziłam co robić, aby jarmark z chaty wyrzucić, nie jeden raz mej rady posłuchano, nie jeden raz nawet dziękowano mi za naukę serdecznie. Przekonałam się więc dobrze, że nasze jarmarki w chatach, to tylko złe przyzwyczajenia, więc dadzą się wytępić, a żeby do tego dopomódz, oto w krótkiej gawędzie drobinkę lekarstw chcę podać.

Moje miłe gosposie, moje młode dziewczątka, proszę, posłuchajcie.

1) Czy wiecie na co są chaty?

Zapewne odpowiecie, iż chaty są na to, żeby ludzie w nich mieszkali, chaty są na to, ażeby ludzie mieli ukryć się przed deszczem, przed wichrem, przed mrozem, przed gorącem i t. d. Ale są one także na to, ażeby ludzie w nich mieszkający, mieli pewne wygody i przyjemności, ażeby nie tylko ciało ludzkie znajdowało tam dla siebie schronienie, lecz i serce i myśl człowieka, ażeby tam bogaciły się, szlachetniały, w uczuciach rosły i w wiedzy postępowały.

W chacie dzieci odbierają najpierwsze nauki z ust rodziców. Tu one zapatrzone w życie ojca i matki, naśladują każdy czyn rodziców, powtarzają prawie każde słowo.

Mówią też ludzie, jakie gniazdo taki ptak, jaki dom tacy ludzie.

Chaty są najpierwszymi szkołami

dla młodych dusz, są też i kościołami, w których dzieci najpierw uczą się modlić, Boga znać i kochać.

Chaty są opieką dla mieszkańców. Od wichru i mrozu ochroną, od jadowitych stworzeń ochraniają, od złych i niespokojnych sąsiadów oddzielają.

Każda chata stanowi jakby mały, zamknięty świat, w którym albo ludziom dobrze, albo źle. Ale to dobro lub zło zależy od tego, jak życie w chacie jest urządzone.

2) Kto ma klucz szczęścia włożyć do drzwi chaty?

Chociażby gospodarz zbudował chatę z najdroższego drzewa, lub wymurował z najtwardszego kamienia, chociażby dał drzwi złote a okna srebrne, jeszcze to nie pomoże, jeśli gospodyni szczęścia nie przyniesie.

Chociażby gospodyni od świtu do nocy w chacie pracowała, chociażby uwijała się jak to mówią bez wytchnięcia, chociażby i skrzynię pełną przyodziewku wniosła i komorę miała pełną zapasów, jeszcze to wszystko nie da pewności, czy w chacie szczęście będzie mieszkało. Bo mi tak zawsze matka mówiła, że szczęście to ptak bardzo płochliwy. Jedna chwila wrzawy i swaru, a ptak poleciał i nie wróci. Mieszka on tylko tam, gdzie słodki, luby spokój, gdzie zgoda i cisza. Ta więc gospodyni klucz szczęścia ma w swoich rękach, która umie tak gospodarzyć, ażeby w chacie spokój utrzymać.

3) Co wprowadza niespokój do chaty?

Jarmark w chacie nigdy spokoju nia da. A początkiem jarmarku w każdej chacie jest nieład, nieporządek, niechlujstwo. Wbiegło dziecko z podwórka, spłoszyło kurę, ta skoczyła na ławę, strąciła miskę i już krzyku, nieszczęścia dość na cały dzień.

Matka dziecko zbiła, aż posiniało z płaczu, starsza dziewczyna dostała po rękach za to, że drzwi do chaty otworzyła, kura aż pierzami pół sieni zasypała, bo tak nią gospodyni w złości rzuciła.

Na to przyszedł gospodarz, coś się wmieszał słowem jednem, usłyszał odpowiedź bardzo niegrzeczną, odrzekł znowu niecierpliwie i jakby kto podpalił izbę w czterech węgłach, tak krzyku, niepokoju i gniewu dość cały dzień a może i całą noc.

Wszystkiegoby nie było, gdyby w chacie był porządek.

4) Czy kura i miska to nieporządek?

Kura bardzo pożyteczna, miska bardzo potrzebna, ale i jedno i drugie na swojem miejscu. Kura nigdy nie powinna być w izbie tej, gdzie ludzie mieszkają. Ani wtedy jak się niesie, ani jak się troszczy, ani jak na jajach młode wysiaduje. Dla niej bardzo dobrze będzie w sianie w komorze, w kurniku, a w chacie bardziej będzie i czysto i porządnie bez kury. Chata jest mieszkaniem ludzi. Dla zwierząt są budowane osobne stajenki, kurniki i chlewki. Kura choćby najładniejsza i czubata i różna, to zawsze nie towarzysz w mieszkaniu człowieka, bo bardzo szkodliwą jest dla zdrowia.

Miska — bardzo potrzebna rzecz, ale nie na ławce. Powinna mieć miejsce na półce albo w szafie, wtedy dziecko nie będzie przelęknione gdy do chaty wbiegnie, inne nie będą płakały karane niewinnie, gospodarz nie usłyszy odpowiedzi niecierpliwej. Ileż to razy podobne rzeczy powtarzają się! O byle drobnostkę krzyku i niepokoju pełno, jak na jarmarku, gdzie ludzi wiele, a nie byłoby tego wszystkiego, gdyby każda rzecz w chacie stała na swojem miejscu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Hygiena dziecka, czyli o zdrowem chowaniu dziecka.

Dr. J. Budzyńska-Tylicka.

(Ciąg dalszy).

O używaniu i potrzebie termometru.

Dziś każden człowiek choć trochę wykształcony, tochę oświecony, wie co to jest termometr i potrafi nim się posługiwać, dlatego też nie będę tu opisywać na jakiej zasadzie jest on sporządzony, przypomnę tylko, że 0 (zero) oznacza temperaturę zamarzającej wody — a więc wszystkie stopnie znajdujące się pod zerem będą wyrażały mniejszy lub większy mróz — stopnie nad zerem pokazują coraz cieplejszą temperaturę, tak, że ostatni stopień w termometrze *Raumura* (który w Galicyi i Europie wschodniej się używa) jest 80⁰ i oznacza ciepłotę gotującej się wody — a w termometrze *Celsiusza* używanego we Francyi i całym zachodzie Europy — w tym miejscu stawia się nie 80 ale 100 i przestrzeń od zera do 100, dzieli się na sto części równe zupełnie; każda taka cząsteczka oznacza jeden stopień. Na jakim stopniu zatrzyma się zawarta w rurce rtęć, czyli żywe srebro — lub w tańszych termometrach alkohol, taka będzie ciepłota czy wody, czy mieszkania, lub zewnętrznego powietrza. Znać ciepłotę jakiegoś miejsca, jest często rzeczą bardzo ważną, a nawet konieczną jak n. p. w różnych fabrykach, cukrowniach, browarach — a nawet w mleczarniach, przy fabrykacyi masła, przy gotowaniu różnych konserwów, przy fermentacyi wina, przy dystylowaniu wódki i t. d. Nie tylko w przemyśle ma tak ważne zastosowanie termometr — bo i medycyna i żaden doktór formalnie obejść się bez termometru nie może i bez niego często nie sposób rozpoznać jaka to choroba i trudno zdać sobie sprawę, czy jest bardzo źle, niebezpiecznie z chorym — jak trzeba go ratować, jakie zapisywać lekarstwa.

Termometr medyczny różni się tem od termometru pokojowego, t. j. zwyczajnego, że jest dostosowany do ciepłoty zwykłej lub nienormalnej naszego organizmu; ponieważ człowiek za życia nigdy nie może mieć zera, t. j. być zimnym ak lód, a najniższa ciepłota chorego może być 30 albo 32^0, więc zaczyna się od 30^0 ciepła, a kończy się nie na 100 — bo również ciało chorego nie może być gorące jak gotująca się woda, lecz największa już śmiertelna ciepłota to 42 stopnie — więc termometr medyczny będzie miał stopnie tylko od 32 do 43^0. Normalna, zdrowa ciepłota tak dziecka, jak i dorosłego człowieka to 37^0, dlatego też na tym 37^0 mamy czerwoną kreskę, aby oznaczyć, że tak pod nią jak i nad nią już będzie ciepłota ciała ludzkiego nienormalną; pod 37^0 będzie osłabienie całego organizmu i zmniejszenie ogólnej ciepłoty przez słabsze krążenie krwi, przez słabsze oddechanie i słabsze bicie serca — przy różnych wycieńczeniach i osłabieniach, po dłuższej chorobie, przy wygładzaniu się i złem odżywianiu; gdy znów włożymy choremu pod pachę na samo ciało termometr na 7 albo 8 minut i znajdujemy 38^0 lub 38·5 t. j. 38 i $^1/_2$ to już jest gorączka, gdy dochodzi lub przechodzi 39^0 trzeba się niepokoić, a gdy termometr pokazuje 40^0 to już bardzo niebezpiecznie, i nic nie zwlekając spieszyć trzeba rychło do doktora.

Ileż to razy uniknęlibyśmy niebezpieczeństwa, gdyby w każdym domu posiadano termometr medyczny i zaraz przy każdym niedomaganiu dzieci czy starszych, mierzono im temperaturę. Wszak termomert to rzecz nie tak kosztowna, a odrazu nam mówi co robić? Czy się niepokoić i wzywać lekarza, czy też sami sobie poradzić będziem w stanie. Dzieciom do lat 3-ch lub 4-ch, które nie zechciałyby pod pachą trzymać z 8 minut termometru, trzeba kłaść odrazu do kiszeczki odchodowej, dolny koniec termometru, posmarowawszy poprzednio wazeliną, masłem lub wreszcie mydłem i trzymać dostatecznem jest 4 minuty — bo prędzej ogrzewa się rtęć przy wewnętrznem cieple

organizmu, tak, daleko jest wygodniej utrzymać dziecko, gdy termometr jest w tyłeczku niż pod pachą, ma się rozumieć **wprost na ciało** — kiedy się dziecko wyrywa, krzyczy, szamocze i łatwo może zbić termometr, który jest bardzo delikatnym przyrządem.

Widzieliśmy jak ważną jest rzeczą, gdy matka przy najmniejszem niedomaganiu swego dziecka zaraz potrafi przekonać się, czy ono ma gorączkę i jaką? małą 38^0, dużą $39\frac{1}{2}^0$ czy niebezpieczną 40^0 lub jeszcze więcej — w pierwszym i drugim wypadku może sama jeszcze radzić i czasem jedna łyżeczka olejku rycynowego, odpowiednia dyeta i inne zdrowe warunki, mogą wystarczyć; gdy w trzecim wypadku (40^0) **trzeba wezwać lekarza** — niech on, jako specyalnie w tem uczony, wynajdzie powód choroby i jej zaradzi.

Każda więc matka, każdy dom rodzinny powinien **koniecznie posiadać termometr medyczny i umieć się z nim obchodzić**,

Także bardzo jest pożądanem, by w każdym domu znajdował się pokojowy, zwykły termometr, który za parę szóstek dostać można u każdego optyka. Wiedzieć czy w mieszkaniu jest za chłodno czy zimno — czy trzeba w piecu zapalić lub przeciwnie, okna pootwierać gdy jest zbyt duszno i gorąco — jest bardzo ważną rzeczą szczególniej dla małych dzieci.

Ciepłota pokoju podczas zimy powinna być dla dzieci 15 lub 16^0 Celsiusza, albo 12—13^0 Raumura (bo **R** podzielony tylko na 80 części — to te cząstki są większe — więc stopień zawsze jest o parę mniej jak w termometrze **C**. W Polsce powszechnie termometr zwykły jest **R** — ale medyczny to na całym świecie **C**). Samemu człowiekowi bardzo trudno jest oznaczyć ciepło pokoju, gdyż to zależnem jest od jego stanu ciepłoty, bo gdy n. p. wchodzimy z zimna, z mrozu do izby, to nam wydaje się że tu tak gorąco — i chcemy nawet zostawić drzwi otwarte, albo radzimy, żeby otworzono okno, a tu termometr pokazuje tylko 12^0 **R** i dla dzieci już byłoby za zimno, gdyby była niższa temperatura, innym znów razem możem być rozgrzani jakąś pracą, jak pieczeniem chleba, rąbaniem drzewa, praniem — i wchodząc do izby o 12^0 **R** mówimy — „jakże tu zimno, jaki chłód, trzeba przyłożyć do komina bo mi dzieciska wymarzną“. Widzimy, jakie to jest osobiste odczucie ciepła. Tak samo jest i z poznaniem ciepłoty wody, którą szykujemy na kąpiel dla niemowlęcia: gdy ręka nasza gorąca od jakiej pracy przy kominie, przy gotowaniu — to woda wydaje się nam chłodną, choć jest zupełnie dobrą a nawet za gorącą na kąpiel; a tu kobieta leje jeszcze wody gorącej; — gdy znów ręce mamy zziębnięte robotą na polu, lub przy bydle — to, zanurzywszy w wodę, wołamy: „ależ dzieciak się ugotuje w tej wodzie!“ chlup garnek zimnej wody. Woda na kąpiel dla niemowlęcia nie powinna przechodzić 30^0 **R**, a 36 do 37^0 **C** — czem dziecię starsze, to nawet lepiej zmniejszać ciepłotę wody do 28—26^0 **R**. Jakże to odczuć to ciepło ręką i to ręką o skórze grubej, spracowanej, przepalonej słońcem, czyż można odczuwać tą ręką tak samo ciepło jak odczuwa delikatna młodziutka skórka pokrywająca ciało niemowlęcia! Trzeba więc termometrem mierzyć wodę na kąpiel dla dziecka. Są na to specyalne drewniane termometry, tak urządzone, że z powodu korka umieszczonego w dole termometru, on nie zanurzy się w wodzie lecz pozostaje na powierzchni — takie termometry kąpielowe są również bardzo tanie jak pokojowe — zresztą i pokojowym można mierzyć ciepłotę wody — byle ją mierzyć, a nie parzyć niepotrzebnie krzyczące z bólu, kąpiące się niemowlę.

Dr. J. Budzińska-Tylicka.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siedlecka** w Krakowie.
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

PYTANIA I ODPOWIEDZI.

Niektóre choroby zwierząt domowych i ich leczenie.

Świerzb (parchy).

Świerzbem nazywamy zaraźliwą chorobę skóry. I człowiek może zarazić się świerzbem od chorego zwierzęcia. Chorobę tę powodują bardzo małe robaczki, tak zwane świerzbowce, które dzielą się na rozmaite gatunki, a należą do rodziny pająćzków.

Objawy. Po całem ciele, a najczęściej na szyi koło głowy wypada miejscami sierść i łuszczy się skóra. Wtedy świerzb nazywa się suchym i jest mniej złośliwy, bo choć zwierzątka już się wżarły pod skórę, psując gruczoły włosów, które wskutek tego wypadają, jednak nie niszczą one jeszcze całkowicie tkanki podskórnej włóknistej. Gdy już i tkanka owa ulega zniszczeniu, wtedy świerzb nazywa się mokrym i jest już złośliwy i uporczywy. Robią się wtedy strupy, fałdy i pęknięcia skóry, z których cieknie krew i ropa. Świerzb szybko rozszerza się po całej skórze. Zwierzęta, dotknięte tą chorobą, są smutne i bardzo chudną.

Leczenie. Przedewszystkiem oddzielić chore zwierzęta od zdrowych. Jeżeli na skórze potworzyły się strupy, natrzeć dokładnie skórę szarem mydłem i tak zostawić kilka godzin, a później zmyć ciepłą wodą zapomocą twardej szczotki, po zmyciu zaś posmarować chore miejsca albo samą naftą, albo mieszaniną z nafty i smoły. Lepsze, ale trudniejsze do zrobienia w domu jest takie smarowidło: wziąć 1 kwartę dziegciu, 1 funt kwiatu siarczanego (ze składu aptecznego), 2 funty szarego mydła i półtorej kwarty spirytusu i wszystko to razem wymięszać. Po natarciu skóry tem smarowidłem nie zmywać go przez tydzień; po tygodniu zmyć i natrzeć znowu. Na świerzb bardzo zastarzały lepsze jest inne smarowidło, a mianowicie: 1 funt kreoliny angielskiej, 1 funt szarego mydła i kwartę spirytusu zmieszać i nacierać, jak wyżej powiedziano. W ostatnich czasach mokry świerzb (a nawet i suchy dla szybszego przerwania choroby) leczą tylko kreoliną. Zamiast maści kreolinowej, używają częściej płynu, zmywając po kilkakroć skórę szmatką w płynie tym umaczaną. Trzeba zwierzęta trzymać w miejscu ciepłem i na lżejszej, mniej pożywnej paszy. Najlepiej w takich razach pozostawiać je na zielonem pastwisku, bo tam i deszcz często skórę spłukuje i słońce na nią oddziaływa.

Ludzie dozorujący chore zwierzęta, strzedz się powinni zarażenia, a więc po każdem nacieraniu konia wymyć dobrze ręce ciepłą wodą i mydłem, a potem wodą karbolową albo kreolinową.

Oparzenia.

Objawy. Skóra na miejscu oparzonem gorąca i spuchnięta; ból, czasem występują pęcherze, które potem ropieją.

Leczenie. Oparzone miejsca okładać tartemi kartoflami. Jeżeli porobiły się pęcherze, trzeba je ostrożnie przeciąć i posmarować oliwą zmieszaną z białkiem z jaja. Można smarować i olejem lnianym.

Złamanie rogu.

Objawy. Jeżeli róg odłamany zupełnie, to odchyla się na bok, lub odpada, albo trzyma się tylko na skórze. Niezupełne odłamanie poznaje się po tem, że róg jest skrzywiony.

Leczenie. Gdy róg trzyma się tylko na skórze, należy go odciąć, bo się nie zrośnie; gdy zaś odłamana jest tylko część, oczyścić pozostały kawałek rogu, obmyć wodą karbolową, założyć wilgotne pakuły i zawiązać szmatą. Jeżeli róg jest tylko nadłamany, sprostować go, ostrzydz naokoło rogu włosy i cały róg obwinąć ciasno i równo długim, cienko rozciętym kawałkiem płótna, a po obwinięciu posmarować płótno klejem stolarskim, bacząc, żeby, zanim klej zaschnie, płótno nie opadło.

Zapalenie wymienia.

Zapalenie wymienia u krowy jest dla gospodarza bardzo dotkliwe, bo pozbawia go przez czas dłuższy mleka od krowy. Główną przyczyną zapalenia wymion bywa przeziębienie wymienia, a także skaleczenie, albo czasem zbyt mocne ciągnienie za dójki przy dojeniu..

Objawy. Skóra na wymieniu zaczerwieniona, cyce puchną, pękają, krowa chodzi z rozkraczonemi nogami i kuleje, mleka daje mało albo i wcale nie daje. Czasem puchlina bywa mała, czasem całe wymię puchnie; w cięższych

wypadkach krowa nie chce jeść i nie może moczyć.

Leczenie. Krowę umieścić w wygodnem, suchem stanowisku i podesłać dużo słomy, żeby wymienia w gnoju sobie nie walała. Dobrem lekarstwem są tak zwane naparzania; robi się je tak: w szaflik z gorącą wodą wrzuca się trochę prochów i tryn z siana i podstawia pod wymię; aby zaś para nie uciekała na bok, nakrywa się krowę (od grzbietu do szaflika) płachtą. Przy mocnym bólu wymienia zmywać je odwarem z siemienia lnianego (kleikiem), a potem smarować oliwą karbolową. Jeżeli wymię nie gorące i nie bolesne, ale twarde, nacierać te twarde miejsca maścią kamforową, którą można zrobić w domu, roztarłszy dobrze łyżeczkę spirytusu kamforowego z 3 lub 4 łyżkami szmalcu. Gdy maść ta nic pomaga, należy smarować jodyną. Gdy na wymieniu zrobi się wrzód — bardzo ostrożnie przeciąć go ostrym i czystym scyzorykiem i ropę wycisnąć. Lepiej jednak tego bez doświadczonego człowieka nie robić. Pamiętać, żeby przez cały czas choroby wymię 3 do 4 razy dziennie zdajać.

Zagwożdżenie.

Zagwożdżeniem nazywa się wbicie ufnala w mięsne części kopyta pod puszką rogową; zdarza się to z winy kowala, gdy przybijając żle dopasowaną podkowę, podbierze za wiele rogu na podeszwie, albo jeżeli używa do kucia złych ufnali.

Objawy. Przy kuciu koń szarpie mocno nogą, gdy mu kowal wbija gwóźdź w mięso; ale kowal na to nigdy nie zwraca uwagi, myśląc, że to taki koń niespokojny. Po podkuciu koń zaczyna kuleć zaraz, albo dopiero po pewnym czasie, jeżeli ufnal jest wbity nie w mięso, ale bardzo blizko niego, tak, że go naciska. Koń wystawia zagwożdżoną nogę naprzód. Później następuje zapalenie kopyta, w którem zbiera się ropa. Koń przytem mocno kuleje.

Leczenie. Odjąć podkowę, wyciągnąć wszystkie ufnale i dobrze je obejrzeć zwykle na tym ufnalu, którym konia zagwożdżono, zobaczyć można troszkę krwi lub ropy. Dziurę po ufnalu przemyć wodą karbolową, albo lepiej kreolinową i zalepić woskiem. Jeżeli kopyto gorące, polewać je często wodą. Uważać, czy z otworu nie zacznie wypływać ropa; a gdyby tak było, to otwór rozszerzyć, zalać terpentyną i leczyć dalej, jak zwykłą ranę; ale przedtem wybrać strugiem róg koło tego miejsca do krwi i w ten sposób upuścić krwi z zaognionego miejsca, co ogromnie przyspieszy leczenie. Dopóki koń choć trochę kuleje, nie używać go wcale do roboty.

Zapalenie oczu.

Przyczyny zapalenia oka bywają rozmaite, naprzykład: gdy do oka dostanie się słoma, plewa, pył; gdy oko jest podrażnione gryzącemi ulotami w stajniach nizkich, co, niestety, często się zdarza; gdy jest ciemna stajnia, tak, że konia wyprowadza się z niej nagle na silną nieraz jasność słońca, albo z jasności wprowadza się odrazu do ciemnej stajni. Zapalenie oka może być też od tak zwanego zaciągu, to jest nadużycie siły.

Objawy. Z oka płyną łzy, oko czerwone, jakby spuchnięte. Koń nie daje oka dotknąć. Po rozsunięciu palcami powieki, widać zmętnienie przedniej części oka, którą nazywa się przeźroczystą rogówką. Koń źle leczony, może oślepnąć.

Leczenie. Po wsiach mają zwyczaj zasypywać koniowi oko tabaką; jest to szkodliwy zabobon i okrucieństwo, które powinno być zarzucone. Nie dobrze też jest zasypywać oko gwoździkami z cukrem. Chore oko należy przemywać kleikiem z siemienia lnianego. Pół funta siemienia lnianego gotuje się w czterech kwartach wody, aż wygotuje się do 3 kwart. Przemywanie robić ostrożnie, żeby oka nie drażnić. Konia postawić w najciemniejszym kącie stajni. Gdy ból i zaczerwienienie zginie, przemywać oko naparem z rumianku. W wypadku zwanym zaciągiem, należy nawet upuścić krwi poza uchem, czy przez pijawki, czy puszczadłem i uwolnić konia na jakiś dzień lub dwa od roboty, a nadal używać uważniej, unikając powtórnego przeciążenia, które najczęściej zdarzyć się może z końmi bardzo rączymi. Jeżeli na oku pokażą się białe plamy albo całe oko wygląda, jakby mętne, trzeba koniecznie poradzić się weterynarza.

Zadławienie.

Ze zwierząt najprędzej zadławić się może krowa, naprzykład kartoflem, burakiem, marchwią, bo zwykle łyka je raptownie, nie gryząc dobrze.

Objawy zadławienia dobrze są znane: zwierzę ślini się mocno i robi ruchy głową, jakby połykało. Oddycha z trudnością, nie przeżuwa, a z powodu zatkania rury połykowej uloty nie mogą odchodzić z żołądka i następuje wzdęcie brzucha. To, czem się krowa udławiła, można namacać ręką albo blizko

gardła, albo aż koło piersi; jeżeli to coś niewielkiego, to samo może przejść do żołądka; w przeciwnym razie grozi zwierzęciu uduszenie.

Leczenie. Wlać do gardła krowie łyżkę oliwy albo oleju. Jeżeli to, czem się krowa udławiła, namacamy bliżej gardła, w takim razie popychać tę zawadę w stronę pyska; a jeżeli ta przeszkoda jest bliżej piersi, to popychać ją ku piersi, naciskają z zewnątrz rurę połykową. Jeżeli to nie pomaga, trzeba wziąć giętki pręt leszczynowy albo trzcinowy, 3 łokcie długi, grubości małego palca, jeden koniec pręta owinąć czystą szmatką, którą trzeba bardzo mocno do kija przywiązać, szmatę posmarować oliwą, wsadzić pręt obwiniętym końcem krowie do przełyku i lekko naciskać to, co tam uwięzło i dławi. Nigdy nie należy używać do tej czynności nieowiniętego kija, bo poranienie gardła może łatwo śmierć sprowadzić. Gdy widzimy, że krowa wzdęta i wcale jej się nie polepsza, trzeba przebić brzuch trokarem. Jest to okrągły, ze stożkowatem, trójkanciastem, ostrem zakończeniem, kilkocalowy pręcik, cieńszy od małego palca, zakończony rączką drewnianą i włożony w rurkę odpowiednią, obramowaną na jednym końcu jakby kołnierzykiem tak, że po przebiciu skóry i wyjęciu pręcika ze środka, rurka pozostaje, a kołnierzyk ów zatrzymuje ją od wpadnięcia dalej pod skórę. Otwór w rurce służy jako jedyna droga do gwałtownego wydobywania się nagromadzonych w żołądku ulotów. Pozostawia się rurkę, dopóki uloty się wydobywają; nie powinna jednak pozostawać zbyt długo, naprzykład z dnia na dzień, żeby nie wywołać zapalenia. Przebijać należy zawsze tak zwaną lewą słabiznę, to jest lewe, licząc od ogona ku głowie, miejsce miękkie i wklęsłe między biodrem a żebrami, które przy wzdęciu jest mocno napięte i przy uderzaniu palcem wydaje dźwięk jak bęben.

Ochwat.

Ochwacić się (schwacić) może najłatwiej koń, jeżeli zgrzany stoi długo na przeciągu, jeżeli zaraz po nakarmieniu zostanie zaprzężony, jeżeli zgrzanego zaraz wprowadzimy do zimnej stajni, w której są przeciągi, lub wreszcie jeżeli bardzo zmęczonego drogą nakarmimy pożywnemi pokarmami, jak owies lub szróta ze zboża. Aby tego uniknąć, daje się po wyprzężeniu zmęczonemu koniowi przed wszelką inną karmą najpierw siano czy koniczynę suchą.

Objawy. Sztywność nóg, koń ma chód drepczący, chwiejny, niepewny. Mięśnie w nogach są twarde i bolesne, kopyta często gorące i bardzo bolesne, tak, że koń nieraz całkiem nie może stać, kładzie się i nogami grzebie, nie chce jeść, ani pić i poci się. (Po spoceniu się koniowi bywa trochę lepiej). Ochwat nieleczony, przechodzi w długłą, niebezpieczną chorobę.

Leczenie. Przedewszystkiem długo i mocno wycierać konia wiechciem ze słomy, skrapiając skórę spirytusem kamforowym z terpentyną, albo olejem gorczycznym. Do skrapiania skóry używać można także wody mydlanej (kilka kawałków mydła rozpuścić w garncu wody) ze spirytusem kamforowym. Przy silnym ochwacie i dobrze utrzymanym koniom — puścić krew, a jeżeli choroba ma siedlisko w kopytach (co poznać można po bólu i gorącości kopyta), zawinąć kopyto w szmatkę, albo obłożyć gliną i ciągle wodą polewać, lub nawet konia w wodę wprowadzić i jakiś czas pozostawić. Okładanie gliną robi się tak: na stary worek rozmazać trochę gliny zarobionej z wodą, podsunąć worek pod kopyto, obłożyć ze wszystkich stron i przewiązać dość grubym sznurkiem. Okład taki polewać wodą co półtorej lub 2 godziny, lub z okładem takim konia pozostawić w wodzie. Do środka dać ostrożnie, żeby się koń nie zachłysnął, sól glauberską, rozpuściwszy 8 łyżek w kwarcie naparu rumiankowego. Lekarstwo to można powtórzyć 3 lub 4 razy w ciągu dnia, aż odchody konia staną się wolniejsze. Jeżeli za tydzień koniowi nie będzie lepiej, zaprowadzić go do weterynarza. Prócz tego daje się tak zwana zawłoka i fontanela, zwłaszcza jeśli widzimy ochwat w przednich nogach lub w mięśniach barkowych. Jeśli zajęte są przednie nogi, wkłada się między dwa otwory skóry barkowej dużą igłę obwiniętą grubą nitką napojoną terpentyną, tak, żeby była między otworami pod skórą i trzyma się ją, aż się miejsce to i koło niego dobrze zaropi; wtedy przemywa się wodą karbolową i stosownie do stanu choroby albo się goi, albo gnoi się na nowo. To się nazywa zawłoka. Jeśli zajęte są mięśnie barkowe, robi się przecięcie na skórze i wkłada się w nie kawałek wojłoku czy flaneli namaczanej terpentyną i postępuje się jak wyżej, to jest gnoi się, następnie wymywa i goi, lub utrzymuje się w stanie rozdrażnienia, aż nastąpi widoczny skutek. To się nazywa fontanela. Są to sposoby stare, ale wypróbowane.

POGAWĘDKA.

Kilka słów o wyborze kur rasowych.

Już tyle razy pytano nas, która rasa kur najlepiej się opłaca, która największe i najwięcej jaj niesie, i która jest najlepszą na mięso. Dlatego też chcemy dzisiaj na te pytania odpowiedzieć. Wybór rasy kur zależy od gustu i zdania hodowców, jak niemniej od potrzeb miejscowych, które nie zawsze są jednakowe. To jedno tylko da się wszędzie zastosować, aby nie trzymać rozmaitych ras, ale trzymać tylko jedną i to odpowiednią do warunków miejscowych rasę nośną lub mięsną. Wiadomą jest przecież rzeczą, że jedne kury dobrze się niosą, ale kości mają grube a mięsa mało, przytem mięso suche, łykowate, n. p. Brahmy. Inne gatunki niosą się mniej dobrze lub może trochę mniejsze niosą jaja, ale zato kości mają cienkie a mięso grube, białe, soczyste, jak Minorki. Mamy jednak dzięki wytrwałej, długoletniej pracy hodowców i takie rasy, które się i dobrze niosą i mięso mają dobre i grube.

Największe kury są Kochinchiny i Brahma-Putry, jasne i ciemne. O Kochinchinach nawet mówić wiele nie będziemy, są to kury drogie — sama widziałam sztum, t. j. jeden kogut i dwie kury „złotych“ Kochinchinów, które kosztowały na węgierskiej wystawie 280 złr. Czarne i białe Kochinchiny są tańsze, ale w każdym razie za drogie, aby je można na gospodarstwie trzymać. Brahma-Putry nie są tak drogie, niosą się również bardzo dobrze, bo jedna kura niesie rocznie 160—180 ładnych, dużych jaj, w których wcale nie dziwnym wypadkiem są dwa żółtka. Tak Kochinchiny, jak i Brahma-Putry są specyalistki w wysiadywaniu jaj, zastępują one znakomicie sztuczne lęgniki, przewyższając je naturalnie praktycznością. Jednak tam, gdzie nie chodzi o przychówek i chowa się kury więcej dla produkcyi jaj, tam jedne i drugie nie nadają się wcale. Objawiają one zbyt często chęć wysiadywania jaj tak, że jedna kura kilka razy do roku będzie wysiadywała kurczęta, a nawet dwa razy z rzędu, tj. jeżeli jedne wysiedzi, można jej zaraz świeże jaja podłożyć, a ona je cierpliwie przyjmie i na nowo wysiadywać będzie, byle tylko dobrze była odżywiona, nic to jej zdrowiu nie szkodzi. Do wysiadywania są one bardzo dobre, bo nie tylko chętnie wysiadują, ale ponieważ są wielkie, więc też i większą ilość jaj obejmą i dokładnie okryją, aniżeli nasze małe kury. Wylęgnięte zaś kurczęta lepiej jest powierzyć innej kwoczce, n. p. naszej kurze, która jest lekka i zgrabna. Brahma-Putry kury wielkie, ciężkie, niezgrabne często kurczątka przydeptują i bywa tak, że taka kwoka zaledwie kilka kurczątek wychowa. *(C. d. n.)*

Zbytnie pocenie nóg.

Jest wiele osób, którym się nogi w lecie bardzo pocą. Takie pocenie się nóg jest nie tylko nieprzyjemne dla cierpiącego ale nawet dla całego otoczenia, nie miła woń spoconych nóg daje się czuć nawet o kilkanaście kroków, prócz tego jest ono bardzo niezdrowem, i trzeba koniecznie starać się o to, aby zbytni pot usunąć. Dobrze jest moczyć nogi częściej w zimnej wodzie z octem, prócz tego trzeba skarpetki czy pończochy lub onucki czysto uprane wygotować w occie a wysuszywszy je, włożyć na nogi i nie zmieniać dopóki się nie zapocą, wtedy wyprać i znowu wygotować w occie i włożyć na nogi Tak powtarzać, dopóki się nogi nie przestaną pocić, mocząc je częściej w zimnej wodzie z octem.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni M. Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.